Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

Dziś strona „SATYRY"

Cena 45 gr.

GŁOS

DWUTYGODNIK POLSKIEJ MYŚLI NARODOWEJ

Nr. 2 | Poznań, dnia 20 stycznia 1935 | Rok V

„Jedyny godziwy spokój w życiu — to spokój sumienia, ale na to trzeba mieć sumienie. W sprawach narodowych bardzo wrażliwe. Wszelki inny spokój staje się wtedy, wartością bardzo względną." Zygmunt Wasilewski „Na wschodnim posterunku"

Koncentracja

Kto pilnie obserwuje to, co się dzieje ostatniemi czasy na powierzchni życia ideowego młodzieży, tego uderzyć musi wzmożony w tej dziedzinie chaos. Mówimy na powierzchni, ponieważ w odczuciu najbardziej zasadniczych spraw, jak i w instynktach swych, młodzież jest czemś jednolitem, stanowi zwarty, granitowy blok. I można z całą stanowczością twierdzić, że gdyby nie sztuczne zabiegi proces krystalizacji instynktów tych w świadomą myśl i organizację polityczną nastąpiłby w tempie piorunującem i zmiótłby z powierzchni gromadzące się na niej męty, wytwarzane sztucznością sytuacji, a nie potrzebą życia. Są wszelako ludzie, którym z racji coraz bardziej panoszącego się chaosu ideowego, nienotowanego w chwili obecnej chyba w żadnym kraju, strasznie wesoło, którzy z radości tej zacierają ręce i głoszą wszem wobec o radykalnych przemianach w orjentacji ideowej i politycznej młodzieży.

Są to z jednej strony karjerowicze, których głosy i mizdrzenia się młodzież oddalała z całą stanowczością, a którzy dziś umęczoną i znużoną różnemi praktykami duszą tej młodzieży starają się zawładnąć, z drugiej zaś strony, to „pedagodzy" i „wychowawcy", którym wielce dogadza rola belfra z przedpotopowej szkółki, przepędzającego zastraszoną trzódkę wychowanków, „wychowawcy", którzy w najlepszym razie nadają się do spełniania roli pogromców, trenujących konie w podrzędnym cyrku.

Najmniej powodu do radości z wytwarzającego się stanu rzeczy powinni mieć ci, którzy szczerze wierzą w to, co nazywają „wychowaniem państwowem". Młodzież bowiem nie staje się dziś wcale bardziej „sanacyjną", raczej jest wprost przeciwnie, czego doskonałym dowodem są rozłamy w „Legjonie Młodych", natomiast coraz bardziej moralnie i politycznie dezorganizuje się. Efekt różnych zabiegów jest podobny do tych skutków, jakie miały na duszę polskiej młodzieży wysiłki rusyfikacyjne rządu zaborczego: młodzieży nie zruszczyły, ale ją moralnie zdezorganizowały, odwiodły od zasadniczego problemu walki o duszę narodową, zanarchizowały i zwróciły przeciw społeczeństwu. (Patrz „Myśl Narodowa", 6. I. 1935).

Wobec takiego stanu rzeczy najpilniejszem zadaniem niezależnych a twórczych elementów w społeczeństwie jest stworzenie pewnego ośrodka, w którym wykrystalizowywałaby się myśl polityczna, gospodarcza i kulturalna, w którym rosłaby energja moralna, który promieniowałby na najszersze masy polskiego społeczeństwa. Jasnem jest, że ta koncentracja sił społecznych nie może dokonywać się mechanicznie, na drodze spędzania do jednej owczarni owieczek najróżniejszej maści, że nie może być jakaś „koncentracja elity", polegająca na kompromisie sił dziś w społeczeństwie działających i stwarzająca klub wygodnych, pięknych dyskutantów. Te skoncentrowane siły wyrość muszą organicznie ze społeczeństwa, muszą zbudzić się z uśpienia, muszą być nowe i świeże, muszą być świadomością siebie najszerszych mas polskich, przedewszystkiem chłopskich i robotniczych.

Jasnem jest dalej, że to wykrystalizowanie nowych sił społeczno - politycznych i kulturalnych, dokonywać się może tylko przy odpowiedniem ciśnieniu, i że im większem będzie to ciśnienie, tem produkt krystalizacji będzie trwalszy, silniejszy; cenniejszy i bardziej niespożyty. Tę atmosferę wysokiego ciśnienia wytworzyć może tylko konsekwentna i jednolita postawa ideowa i równie konsekwentna postawa moralna. Czas najwyższy skończyć z tem, coby można nazwać „politycznem życiem ułatwianem", objawiającem się w stałem dojutrkowaniu, objawiającem się w dziedzinie ideowo - politycznej w kulcie frazesu i demagogji, w dziedzinie postawy moralnej zaś nidyferentyzmem, rozlazłością i ukochaniem nadewszystko wygody. Do czego takie „polityczne życie ułatwione" prowadzi, to doskonale ilustrują zeszłoroczne wypadki na terenie obozu narodowego. Ten brak odpowiedniego ciśnienia ideowego i moralnego, stwarzającego w grupie pewien jednolity rytm i nadającego jej swoisty styl, sprawił, że jedni ludzie wyłamali się — bo zamiłowania w wygodzie poszli sobie szukać wygodniejszego miejsca, drudzy, bo się zniecierpliwili, a nie mając zrozumienia dla organiczności przeciwhistorycznych, uwierzyli w ich mechaniczność, a wślad za tem w siłę frazesu i demagogji. Przed kultem frazesu i demagogji, przed „ułatwionem życiem ideowem", zmuszającem nas do koczowania po różnych doktrynach społeczno - politycznych i kulturalnych, obronić nas może w dużej mierze kult autentyczności, pilna obserwacja życia, zrozumienie najistotniejszych jego potrzeb i braków. Tylko taka postawa musi uczynić z nas czynnik w życiu społecznem niezbędny, twórczy i prawdziwie wartościowy. Przed niecierpliwością uchronić nas może wewnętrzna dojrzałość i zrozumienie, że w procesie dojrzewania czynnik czasu jest decydującym, wreszcie przeświadczenie, że każdy czyn istotnie twórczy jest obliczony na daleką metę.

Żyjemy dziś w okresie przewrotu czynników konsumpcyjnych w społeczeństwie nad twórczemi. W okresie takim wszelkie wyprodukowane wartości duchowe i materjalne są szczególnie cenne. To też temi produktami wspomnianej powyżej koncentracji ideowej i moralnej należy gospodarować umiejętnie i planowo. Nie należy ich bezmyślnie trwonić, ale wyzyskać je ekonomicznie aż do ostatecznych granic. A może to tylko zrobić silnie skoncentrowana organizacja. Tylko ona może obsłużyć miljonowe rzesze, łaknących wartościowych, rodzimych produktów umysłowych, tylko ona może dotrzeć wszędzie, do najdrobniejszej komórki życia społecznego, z tem co uzna za wartościowe, tylko taka sprawna, skoncentrowana organizacja może wreszcie rozbujać całe społeczeństwo w jeden, wielki, jednolity rytm twórczego entuzjazmu.

Podejmujemy więc hasło koncentracji twórczej energji ideowej i moralnej na wszystkich odcinkach życia społecznego — koncentracji nowych, świeżych, budzących się sił, wyrastających z najszerszych mas polskiego ludu.: chłopów i robotników, walczących żołnierzy o nową Polskę. Wierzymy, że koncentracja ta nastąpić może tylko w atmosferze karności i dyscypliny, wytwarzanej jaknajwiększem ciśnieniem jednolitej i konsekwentnej postawy ideowej i moralnej. Wierzymy, że tylko w takiej zdrowej i twardej atmosferze, przepojonej zmysłem rzeczywistości i poczuciem autentyczności, i faktu oraz dalekiego sięgania okiem w przyszłość, może wyróść nowa grupa rządząca w Polsce.

Tej idei koncentracji wszystkich twórczych i świeżych sił w zwartą i jednolitą grupę ideową i organizacyjną pragnie służyć, tak jak dotychczas „Głos".

MICHAŁ PAWLIKOWSKI

Wierzę w jednego Boga

JUŻ NIE PRZYCHODZĘ ZE SPRAWĄ, Z ŻADNĄ MOJĄ MARNĄ SPRAWĄ CZŁOWIECZĄ, — WSZYSTKIE MI ONE Z RĄK PODNIESIONYCH KU TOBIE PRZEZ PALCE LECĄ...

NIE CZEKAM ZA ME UCZYNKI ZAPŁATY I NIE LĘKAM SIĘ KARY ZA NIE. — WIEM, ŻE KIEDYŚ NA WSZYSTKO PRZYJDZIE W KRÓLESTWIE TWOJEM ŚWIĘTEM WIECZYSTE WYRÓWNANIE.

JENO DZIŚ WEŹ MOJĄ DUSZĘ I ZATOP W OTCHŁANI BYTU NIEZMIERZONEJ, WE WIECZNEJ, CICHEJ POGODZIE, ZŁOTEJ, NIEBIESKIEJ I ZIELONEJ...

I W MORZU TWOJEGO STWORZENIA ZATOP JEJ SIŁY, ABY SIĘ KIEDYŚ NA JAKIEŚ DOBRO ZWYCIĘZKIE ZŁOŻYŁY.

A ROZPĘD, KTÓRY JEJ DAŁEŚ, JAK GWIAŹDZIE RZUCONEJ W OTCHŁAŃ, — WRÓĆ ZNÓW FALI WEZBRANE RYTMÓW WSZYSTKIEJ NATURY, — BY ROSŁA I POSZŁA KIEDYŚ I ŚWIAT ŚPIĄCY ZALAŁA Z GÓRY...

A TERAZ WSZYSTKĄ JEJ DUMĘ I WSZYSTKĄ JEJ SZUMNĄ HARDOŚĆ PRZYJM DO CHORAŁU ZIEMI, ABY SIĘ CHWALE TWOJEJ STAŁO ZADOŚĆ.

(„WIERZĘ W JEDNEGO BOGA", poemat z „Hymnów strzelistych" pierwszy)

W numerze:

O POLSKOŚĆ MAŁOPOLSKI WSCHODNIEJ

I. Historyczny szkic stosunków ludnościowych

Sprawami Małopolski Wschodniej ogół Polaków zajmuje się stanowczo za mało. Wprawdzie w czasie panującej biedy polska ludność jednej prowincji, mając dość swoich kłopotów, nie może zbyt wiele uwagi poświęcać sprawom drugiej, jednak to ją wcale nie upoważnia do spuszczania z oka najżywotniejszych spraw, jakie się dziś rozgrywają w całej Polsce, a przedewszystkiem na jej ziemiach wschodnich. Są to bowiem zagadnienia pierwszorzędnego znaczenia dla naszej *przyszłości*, których nam nie wolno pod żadnym względem ani zaniedbywać, ani lekceważyć, gdyż może nas to kiedyś zbyt drogo kosztować.

Dziś na czoło tych zagadnień wysuwają się sprawy Ziemi Czerwińskiej, o których w ostatnich miesiącach w prasie polskiej spotykało się tyle alarumjących opinję publiczną doniesień i pogłosek o ugodzie polsko - ruskiej. Ugodę, zawartą w jakiejkolwiek bądź formie, należy uważać za ciężkie przewinienie dziejowe, gdyż przez nią poważnie osłabimy polskość Małopolski Wschodniej i znacznie uszczuplimy nasze historyczne prawa do posiadania tej ziemi, która nigdy nie była terytorjum ściśle ruskiem, za jakie ją pragną koniecznie uważać rozpolitykowani Rusini, prawem kaduka, mieniący się „Ukraińcami". Od wieków bowiem ziemia ta, zwana czerwieńską od grodu tej nazwy, była zamieszkana przez polskie plemiona, które w roku 981 podbił Włodzimierz Wielki, książę kijowski. Kronikarz ruski, Nestor, opisując to zdarzenie, stwierdza wyraźnie, że był to zabór, dokonany na Polsce, a nie odebranie ziemi, kiedyś przez Polaków Rusinom zabranej. Zresztą polskość tej krainy stwierdzają nazwy najstarszych grodów, jak: Czerwień, Bełz, Sanok, Sambor, Sąsieck i Wieleń nad Bugiem (koło Hrubieszowa), które nie są ruskie, lecz polskie. Świadczy także o tem i szmat kraju na południowy wschód od Lwowa, leżący między rzekami Wereszczycą a Złotą Lipą, który nosi nazwę „Opola". Nazwa ta zapewne pochodzi jeszcze z najdawniejszych czasów przynależności tej ziemi do Polski.

Z chwilą opanowania terytorjum Grodów Czerwieńskich przez Włodzimierza Wielkiego rozpoczyna się systematyczna rutynizacja miejscowej ludności, przerwana tylko krótkotrwałem odzyskaniem tych ziem dla Polski przez Bolesława Chrobrego, a potem Bolesława Śmiałego. Jednak od roku 1087 rutynizacja ta jest prowadzona już prawie bez żadnej poważniejszej przeszkody przez blisko dwieście pięćdziesiąt lat, mianowice do chwili przyłączenia Ziemi Czerwieńskiej do Polski przez Kazimierza Wielkiego. Podkreślić przytem należy, że rozstrzygającym momentem w ruszczeniu tubylczej ludności było zaprowadzenie wśród niej chrześcijaństwa w formie cerkwi prawosławnej, a nie kościoła rzymsko - katolickiego. Niemałą rolę odegrała w niem także bezwzględna polityka kolonizacyjna książąt ruskich. Przenosili oni ludność miejscową na wschód, a na jej miejsce sprowadzali ruską lub koczowniczą, która się później ruszczyła. Tak więc wyznanie i towarzyszące mu panowanie polityczne oraz wpływy kulturalne zacierały szybko różnice językowe i świadomość odrębności plemiennej, która zapewne wielką nie była, a wytwarzały tem samem coraz większą przepaść między ludnością plemion polskich, pozostającą pod panowaniem ruskiem, a resztą ludności polskiej, zamieszkałą we własnem państwie.

Łączność jednak między Polską a Rusią była zawsze żywa. Piastowie ciągle wchodzili w stosunki familijne z Rurykowiczami i bardzo często zajmowali się wewnętrznemi sprawami ruskiemi, łagodząc spory, jakie ciągle wybuchały między książętami ruskimi a butnymi bojarami czerwieńskimi, uważającymi się za właściwych panów kraju. Bojarzy ci noszą przeważnie imiona polskie (Władysław, Mirosław, Żysław, Żyrosław itd.), co również świadczy o pierwotnej polskości kraju.

Mimo to Polska nie mogła przeciwstawić się szybko postępującej rutynizacji dawnego jej terytorjum, gdyż zbyt późno rozbudowała swoją organizację kościelną, a następnie kultura kościoła zachodniego była wówczas jeszcze znacznie niższa od kultury kościoła wschodniego, na którym właściwie oparło się panowanie ruskie. Polska więc ograniczyła się do wystąpienia w charakterze misjonarskim kościoła zachodniego wobec ludności czerwieńskiej, co i tak było gwałtownie zwalczane przez zwolenników kultury bizantyjskiej, którzy nawet otruli księcia włodzimiersko - halickiego, Bolesława Trojdenowicza, zwolennika opierania się o kulturę zachodnią, idącą z Polski.

Sytuacja zmienila się dopiero po przyłączeniu Rusi Czerwonej do Polski przez Kazimierza Wielkiego. Monarcha ten, postępując bardzo rozumnie, zapewnił kościołowi wschodniemu swobodę, a bojarom ruskim ich dotychczasowe prawa, dzięki czemu uzyskał uznanie swego panowania. Kazimierz położył też podwaliny pod nieprzerwaną już nigdy łączność tej ziemi z resztą Polski. On to podniósł kulturę i gospodarstwo krajowe przez zakładanie miast i wsi na prawie niemieckiem; zorganizował kościół katolicki dla napływających z całej Polski osadników (utrwalił biskupstwo w Przemyślu i założył biskupstwa: w Chelmnie, Włodzimierzu i Lwowie oraz arcybiskupstwo w Haliczu, przeniesione w 1377 roku do Lwowa); osadził szereg przedstawicieli polskich magnatów, nadając im znaczne dobra i zobowiązując ich za to do służby wojennej na czele licznych hufców zbrojnych, utrzymywanych przez nich własnym sumptem.

Tę mądrą i uczciwą politykę kazimierzowską prowadzili nadal jego następcy. Ona też sprawiła to, że ludność czerwieńska coraz wiecej lgnęła do polskości i że żywioł ruski nigdy nie wystąpił wrogo przeciw Polakom i państwowości polskiej. Dzięki niej wkrótce szlachta ruska zaczyna stopniowo domagać się równouprawnienia z Polakami i szybko się polonizuje. Już w 1435 roku na własne jej żądanie i ku powszechnemu zadowoleniu wprowadzono na Ruś Czerwoną samorząd ziemski i związane z nim sądownictwo ziemskie z językiem łacińskim jako urzędowym. Tak więc miejscowa szlachta dobrowolnie przechyliła się na stronę polskiej idei państwowej i narodowej, a stało się to głównie dzięki poznaniu polskich instytucyj państwowych i uznaniu ich za wyższe i korzystniejsze. Naturalną konsekwencją tego zjawiska było masowe przechodzenie magnatów i szlachty ruskiej na katolicyzm i zupełne polonizowanie się.

Przez cały XI wiek polskość szerzyła się wszędzie, żywo wzmacniana nowymi osadnikami z całej Polski. O jej dynamice świadczy najlepiej osiągnięcie już w XVI wieku w warstwach szlacheckich jednolitości kulturalnej i politycznej, co było nawet powodem do stopniowego hamowania polonizacji wsi ruskich, gdyż rozwój gospodarki folwarcznej raczej stwarzał dążność do narzucania wsiom polskim warunków wsi ruskich, t. zn. zupełnego uzależnienia ich od panów. Nadto szlachta, usposobiona tolerancyjnie pod względem religijnym, w XVI wieku chętniej budowała cerkwie, niż kościoły katolickie, bo fundacja cerkwi była znacznie tańsza. Dalszy cios polonizacji warstw chłopskich zadała unja religijna, znosząca zasadniczo różnice między kościołem a cerkwią i ułatwiająca szlachcie, tak odpowiadający jej światopoglądowi, podział wyznań na kulturalne, łacińskie, dla oświeconych, i niekulturalne, słowiańskie, dla prostego ludu. Późniejsza gorliwość religijna szlachty, jaka panowała w XVII i początkach XVIII wieku, nie naprawiły już tego błędu, ponieważ każdy szlachcic przeważnie utrzymywał kapelana, którego brał z pobliskiego klasztoru, a w cerkwi budował jedynie ołtarz, przy którym od czasu do czasu odprawiano nabożeństwo rzymsko - katolickie.

Mimo tych błędów polonizacja ziemi czerwieńskiej pod każdym względem wydała wspaniale rezultaty. Ziemia ta czuła się wówczas prawdziwie polską, czego najlepszym dowodem są staczane przez jej synów bohaterskie boje w obronie całości granic Rzplitej. Kres temu wspaniałemu rozwojowi polskości na Rusi kłada jednak wojny kozackie, wywołane przez Chmielnickiego. Burzą one prawie doszczętnie dotychczasowy dorobek polski, a kraj zamieniają w pustynię. Następujące zaś po tych wojnach nowe zawieruchy wojenne i najazdy tatarskie gospodarczo niszczą do reszty tę ziemię i prawie ogołacaia ją z ludności.

Po tych krwawych zapasach następuje odbudowa kraju za Jana III, przerwana nowemi wojnami, trwającemi za Augusta II Sasa. Odbudowa ta przeprowadzana jest przy pomocy nowego polskiego osadnictwa, które jednak iest zupełnie niepodobne do pierwszego, kaźmierzowskiego. Podczas gdy tamto było prowadzone przez bardzo przedsiębiorczy, dzielny i nawskroś polski żywioł szlachecki i przez chłopów polskich, a miało na celu nietylko opanowanie tej ziemi pod względem gospodarczym, lecz także narodowym, politycznym, to zaś jest prowadzone przez polskich magnatów dla celów ściśle kapitalistycznych.

Panowie polscy kwestje opanowania tego terytorjum pod względem narodowym rzadko brali pod uwagę, dlatego sprowadzali, skąd się tylko dało, rzemieślników, kupców, rolników i robotników, nie zważając wcale na ich narodowość i pochodzenie. Czynni są też przy tej akcji osiedleńczej Żydzi, którzy, pracując w tym samym, co przed buntami Chmielnickiego, charakterze, i stosując te same metody, co dawniej, w wysokim stopniu zaostrzają tę kapitalistyczną i ekstensywną, rzec można, rabunkową gospodarkę pańską. Nie koniec na tem. Magnaci polscy popełniają przytem jeszcze inne bardzo wielkie i trudne do darowania błędy. Mianowicie zaczynają gnębić słabe ekonomicznie, a narodowo dobrze uświadomione, polskie warstwy drobno - szlacheckie, a chłopa polskiego traktują, jako poddanego, narówni z innymi poddanymi narodowości ruskiej. Skutkiem tego chłop polski w Ziemi Czerwieńskiej, pozbawiony związku z wyższemi warstwami polskiemi, powoli przechodzi do kościoła unickiego i stopniowo zaczyna się ruszczyć; drobna zaś szlachta czynszowa odpychana i poniewierana przez panów ,a raczej przez ich oficjalistów, chłopieje i także się wynaradawia.

Oprócz tego niemniej ciężkim błędem, popełnionym przez panów polskich, była sprawa budowy świątyń. Wprawdzie panowie wznoszą kościoły i klasztory dziesiątkami, ale cerkwie budują setkami, osadzając przy nich ciemne duchowieństwo ruskie, naogół bardzo wrogo usposobione w stosunku do katolickiej Polski i Polaków. Duchowieństwo to starało się zawsze wszelkiemi sposobami związać szersze masy ludności z cerkwią i jednocześnie buntowało je bezustannie przeciwko Polsce i Polakom. A ponieważ ówczesne stosunki ekonomiczno - socjalne i postępowanie polskich magnatów względem niższych warstw ludności czerwieńskiej pozostawiało wiele do życzenia, więc nic dziwnego, że ta niecna robota popów ruskich wydawała pożądane rezultaty. Bowiem nietylko lud polski i napływowe warstwy innej narodowości, lecz także drobne rzesze szlachty polskiej rutenizują się i wzrastają w jadzie nienawiści ku Polsce. Odtąd polskość na ziemiach ruskich zaczyna się cofać. W miejsce jej pojawia się nieznany dotychczas separatyzm ruski ,którego twórcami i prawdziwymi piastunami są księża ruscy, a kolebką ekonomiczno-socjalną stosunki, jakie zapanowały na ziemiach wschodnich z winy egoistycznej polityki osobistej polskiej magnaterji już w końcu XVI wieku na Zadniepru i Kijowszczyźnie, a w pierwszej połowie XVIII wieku także i na Ziemi Czerwińskiej.

Stosunki te zrodziły bunt Chmielnickiego, który właśnie z nich wyrósl, a nie z ruchów narodowościowych. One też i podstepna działalność ciemnych popów ruskich wywołały w roku 1768 krwawe widmo haidamaczyzny, która polskości zadała bardzo ciężkie straty. Hajdamacy bowiem wymordowali dziesiatki tysięcy ludności polskiej i to przeważnie szlachty średnio zamożnej, a więc żywolu wówczas dla Polski najbardziej wartościowego.

Czasy Stanisława Augusta są okresem powolnego odradzania się polskości na ziemiach wschodnich. Rany zadane jej przez hajdamaczyzne zabliźniaja się; gospodarka staje się racjonalniejsza i, z punktu widzenia polskich interesów, korzystniejsza. Bowiem drobna szlachta, a więc żywioł szczerze polski, zaczyna powoli dorabiać się większych fortun i polszczyć zrutynizowanych współrodaków. Wielką i wdzięczną rolę w tej polskiej pracy kulturalno - narodowej odegrały rzymsko - katolicike klasztory i szkoły polskie.

Jednak kres temu wspaniałemu rozwojowi i odrodzaniu się polskości tych ziem kładą rozbiory. Zaborcy zaraz po zagarnięciu terytorjów polskich myślą o ich odpolszczeniu. I tak Austrja, która zagarnęła Małopolskę Wschodnią, nie czując się na siłach do przeprowadzenia skutecznej germanizacji tej krainy, postanowiła osłabić jej polskość przez uderzenie w kościół rzymsko - katolicki, który był zawsze, jest i będzie ostoją polskości Ziemi Czerwińskiej.

W tym celu po długich i poważnych rozważaniach w Wiedniu i w austrjackiem gubernjum we Lwowie zarządzono kasację klasztorów, konfiskatę ich dóbr i dóbr kościelnych oraz utworzenie t. zw. „funduszu religijnego", którym rząd austryjacki dysponował na wydatki kościelne według własnego uznania. Ten krok rządu austryjackiego najboleśniej dotknął kościół rzymsko - katolicki w Małopolsce Wschodniej, którego kosztem Austrja wzmacniała kościół grecko - katolicki. Od tego czasu zaczyna się też powoli proces wynarodawania wiejskiej ludności polskiej, który posuwa się ciągle naprzód przez cały XIX wiek z powodu braku kościołów katolickich i szkół ludowych polskich, a obfitości cerkwi i szkół ruskich; dalej z powodu współżycia ludności polskiej z liczniejszą ruską, czego dowodem są małżeństwa mieszane, które pod koniec XIX i na początku XX wieku układały się w ten sposób, że co piąty Rusin żenił się z Polką; wreszcie także z powodu braku opieki i uświadomienia narodowego mas ze strony inteligencji polskiej.

Wprawdzie wszystkie te braki starano się odrobić w końcu XIX, przez co proces rutynizacji chwilowo zatrzymano, ale nie pomyślano o systematycznem zebezpieczeniu i umocnieniu polskości. Brak było ku temu ludzi i środków materjalnych. A był to czas, w którym dla polskości można było zrobić jeszcze wiele dobrego. Wogóle stwierdzić należy, że przez niemal cały XIX wiek istniało jeszcze na Ziemi Czerwieńskiej dobre współżycie między Polakami i Rusinami. Dowodem tego są wydarzenia z czasów rzezi galicyjskiej w 1846 r., kiedy to ludność Małopolski Wschodniej wyraźnie odsuwała się od agitatorów austryjackich, podburzających ją przeciwko szlachcie, oraz wydarzenia z czasów powstań polskich z 1831 i 1863 roku, podczas których ludność ruska sprzyjała powstańcom. Widocznie więc poczucie powinowactwa krwi i pamięć wiekowego, zgodnego współżycia, były wówczas jeszcze bardzo silne.

Stosunki zmieniają się dopiero pod koniec XIX wieku, kiedy to dzięki obłudnej austryjackiej polityce i jej judaszowskim srebrnikom, zdołano wyhodować na Ziemi Czerwieńskiej znaczną liczbę agitatorów wojującego „ukrainizmu". Agitatorzy ci wytworzyli w Małopolsce Wschodniej sztuczny rozdźwięk, który już nie zniknął, gdyż znalazł możnego i potężnego opiekuna i protektora w Berlinie. Niemcy bowiem w przewidywaniu wojny z Rosją postanowili wyzyskać Rusinów w swojej rozgrywce z państwem carów oraz skutecznie paraliżować przy ich pomocy antygermańską działalność Polaków w zaborze austryjackim. W tym celu czynią Lwów osią niemieckiej polityki środkowo i wschodnio - europejskiej. W niemieckim konsulacie we Lwowie koncentrowały się wówczas nici tej perfidnej roboty. Tam mieściło się tajne biuro „Ostmarkenverein'u", które dostarczało pieniędzy na wydawnictwo „Diła" i na propagandę „ukrainizmu". W roku 1903 została nawet nawiązana bardzo ścisła łączność między Hakatą pruską a „Ukraińcami". Hakata przesyła też „Ukraińcom" pieniędze na wywołanie i popieranie strajków rolnych. W następnym roku (3. II. 1904) ruski pop, Hanickij, pisze list do przywódcy hakatystów. Tiedemanna, w którym wyjaśnia mu, jak przez strajk rolny zamierza zniszczyć w Galicji polskie ziemiaństwo, prosi go też o pomoc materjalną i zaleca podburzanie przeciwko Polakom ruskich mas robotniczych, które przebywają w Prusach na robotach sezonowych*).

Od tego czasu akcja pobudzania do życia ruskiego nacjonalizmu i rutynizacja ludności narodowo niezdecydowanej postępuje żywo naprzód. Drogi ich prowadzą nietylko przez organizacje polityczne, gospodarcze i kulturalno - oświatowe, lecz także przez kościół unicki, wprost z ambony!... Nic też dziwnego, że szeregi nacjonalistów ruskich ciągle rosną. Czy jednak wszyscy byli prawdziwymi Rusinami, czy czasami wielu z nich nie było Polakami, zrutynizowanymi przez cerkiew unicką? Odpowiedź na to pytanie daje nam Jan Zamorski w „Przeglądzie Wszechpolskim" z roku 1924 pt. „Praca oświatowa i narodowa na Podolu Galicyjskiem". Jest ze wszech miar bardzo pożądane, aby każdy młody Polak przeczytał te wzruszające wspomnienia bohaterskiego i czcigodnego działacza narodowego, który za swoją twardą i nieugiętą służbę ojczyźnie był prześladowany przez Austrję, a którego w wolnej Polsce potraktowano niezbyt szlachetnie.

Przy czytaniu tych wspomnień dopiero możemy sobie, zobrazować rozpaczliwy stan oświaty i świadomości narodowej polskiej ludności w Galicji pod koniec XIX wieku; dopiero zrozumiemy kołtuństwo galicyjskich warstw szlacheckich, które najwięcej są winne dzisiejszemu stanowi rzeczy w Małopolsce Wschodniej. Prócz tego dowiemy się z nich o faktach zdumiewających, mianowicie co może zdziałać dobrego na niwie społecznej ofiarna i zdecydowana jednostka, o ile ma wolę, zapał i chęć do pracy dla dobra drugich.

Zamorski maluje nam stosunki panujące wówczas na Podolu Galicyjskiem, gdzie każda wieś ma cerkiew i probostwo unickie, podczas gdy do parafji rzymsko - katolickiej należą Polacy z 15—20 wsi. Wspomina, że Zbaraż jeszcze pod koniec XIX wieku miał w swej parafji 32 wsie, z których w każdej była cerkiew unicka. A ponieważ unja należy do obrządku katolickiego, więc ludność polska nie widziała żadnej różnicy między jednym a drugim kościołem. Że taki pogląd miało także polskie duchowieństwo katolickie świadczy o tem najlepiej fakt zgromienia przez polskiego proboszcza, gorącego patrjoty i powstańca z 1863 roku, chłopa polskiego

*) Red. Krysiak zdołał wydobyć tajne akta hakaty, które drukowano w „Słowie Polskiem" we Lwowie w 1913 i 1914 r.

ADAM ŻÓŁTOWSKI

O TRADYCJĘ ROMANTYZMU

Kiedy mowa o myśli polskiej wieku XIX-go zwykliśmy pomiętać tylko najzuchwalsze jej wzloty i najgroźniejsze wyrazy, a gdy te zestawimy z „szarą i twardą“ rzeczywistością, stwierdzamy dużą niewspółmierność. I wtedy nam się wydaje, że szczytne teorje zbyt mało mają praktycznej wartości, by obecne pokolenia w poważniejszej mierze do czegokolwiek zobowiązywać. Płynie stąd wiele szkody i wiele zubożenia naszej umysłowości, — a tymczasem cały ten punkt widzenia polega bądź co bądź na nieścisłości. Nasza wielka poezja i filozofja nie mieszczą się całe w jednem widzeniu ks. Piotra. Treść mają o wiele obszerniejszą, a jeżeli charakteryzują je dwa przedewszystkiem rysy, spojrzenie skierowane w przyszłość i głębokie poczucie narodowe, to warto dziś, gdy ówczesna przyszłość nadeszła, uważniej stwierdzić, co one zawierają i co dla nas znaczyć mogą.

Nie wystarczy oczywiście patrzeć w przyszłość, trzeba patrzeć trafnie. I przewidywanie przyszłości nie uchodzi za rzecz łatwą. To też nie może nie budzić zdumienia i nie zasługiwać na uznanie na pierwszem miejscu stanowczość, pewność, zgodność z jaką nasi wieszcze przewidzieli odbudowanie Polski. Jeżeli zaś zdarzenie jakieś nie przygotowywało się stopniowo, przynajmniej w sposób widomy, lecz przeważnie z roku na rok wydawało się bardziej odległe i nieprawdopodobne, by potem prawie nagle, z jakąś piorunującą siłą i niepowstrzymaną chyżością się urzeczywistnić, to ten, kto je z dawna wypowiedział, słusznie uchodzić może za człowieka, który głęboko zajrzał w istotę rzeczy i nieprzeciętnie ją odgadł. A w naszym wypadku stwierdzićby można jeszcze, że nadzieje Polski na przyszłość tak właśnie były zapowiadane, jak się urzeczywistniły bo, nie jako cudowna niespodzianka lub niebywały kaprys losu, lecz jako wynik sił władających historją, potężniejszych od doraźnych konjunktur, górujących nad zamierzeniami pojedyńczych ludzi.

Jeżeli ta trafność przewidywań zachęci nas do bliższego rozpatrzenia polskiej myśli, to napotkamy dalszą historyczną diagnozę mniej naocznie sprawdzalną od poprzedniej, a jednak coraz wymowniejsze znajdującą potwierdzenie w rzeczywistości. Mamy na myśli przekonanie o głębokiej i wszechstronnej przemianie, jaka oczekuje świat nowożytny, i do której on idzie coraz szybciej i nieodwołalniej. Na ogół panowało pod tym względem w myśli europejskiej dużo niejasności i niezdecydowania. Przeważały zawsze zapatrywania, wedle których decydujące zmiany uznawano każdocześnie za już dokonane. Raz znaki zapowiedne „czasów nowszych“ jak system Kopernika, odkrycie Ameryki, proch i kompas, to znów rewolucja francuska lub angielski przewrót przemysłowy, albo nauka współczesna, a z nią para i elektryczność miały być podstawami nowego porządku rzeczy różniącego się temi zdobyczami stanowczo i nieomylnie od wszystkich poprzednich. Otóż w książeczce jednej z najgenjalniejszych, jakie kiedykolwiek napisano, w Prolegomenach Cieszkowskiego, było powiedziane, prawie sto lat temu, że to wszystko dopiero początki, że przyszłość niesie dalsze bardziej stanowcze przeobrażenia, a w dziele napisanem niewiele później, także autor wyraźnie wyrzekł, że „świat stary umiera, — a nowy się rodzi.“

Kiedy więc największy umysł polityczny współczesnej Polski przeciwstawił płytkim utyskiwaniom na kryzys gospodarczy to stanowcze twierdzenie, że to, co się dzieje, nie jest ani przypadkowe ani przemijające, że to nie przejściowo popsuła się konjunktura, lecz że w świecie dokonywa się niepowstrzymany przewrót, uderzył on w starą myśl polską i tylko odnowił tu duchowe dziedzictwo naszego narodu.

Jeśliby z powyższych sprawdzonych już lub sprawdzających się zapowiedzi wziąć asumpt do zapytania myśliceli polskich o pewne ściślejsze horoskopy, dotyczące rzeczy dziejących się na oczach naszych, to i tu zawodu nie doznalibyśmy. Z wszelkiemi zastrzeżeniami powiedzieć można, że polska koncepcja światowego i historycznego przewrotu, który nadchodzi lub nadszedł, jest optymistyczna. O to chodzi, że przewrót idący nie potrzebuje mieć złowrogiego przebiegu, bo dane jest wszystkim, co potrzeba, by można zeń dobyć owszem twórcze i dobroczynne działanie.

Warunkiem tego pierwszego jest oczywiście owa „dobra wola“, która była natchnieniem jednego z Polaków przyszłości. Ta siła jest omal, że nieograniczona, to prawda, ale na nieszczęście też niezmiernie zawodna. Ale jest jedno zabezpieczenie od rzeczy najgorszych, nie wykluczające nieszczęść i tragedji, a jednak w pewnych zwłaszcza momentach bardzo silnie działające, mianowicie, że to, co złe, to też kruche i nietrwałe i skazane na szybkie zniknięcie. Myśl polska ujmuje to ściślej. Cechą nadchodzących czasów winno być wywiązywanie się w świecie ludzkim twórców *organicznych, bo* tylko to, co organiczne, żyć może, a świat dojrzewa do zrozumienia tej prostej prawdy.

Oczywiście nie chodzi nigdy o formuły i niewarto się spierać o użycie jednego wyrazu zamiast innego. Ale są czasem słowa, które można uznać za szczególnie szczęśliwie dobrane. — Dlaczego ludzkość przeżywa przewrót? Bo formy, w jakich żyła, okazały się nietrwałe, niedość były mocne, żywotne, odporne, a zarazem niedość giętkie, elastyczne, chłonne, — niedość zgrane, harmonijne, skupione, by wytrzymać wstrząsy lub im zapobiec, by olbrzymiemu ciśnieniu sprostać, a nie pęknąć, by nowym potrzebom zadość uczynić, do nowych konieczności dorosnąć. Te wszystkie własności zaś zawarte są wcale naturalnie i ściśle w pojęciu *organiczności*. Być może ,że inni tego wyrażenia używali także, ale nasi używali go w odniesieniu do najwyższych a zarazem najbardziej palących zagadnień historji i społecznego bytu i tu to słowo samo zdaje się wnosić wiele światła i ułatwień, wiele pożądanych rozróżnień.

Nie chcemy tu wchodzić w dyskusję kwestji aktualnych, ale i bez tego wiele użytecznych nasuwa się refleksyj. Może jako jedna z pierwszych ta, że nie każde nowatorstwo, nie każdy rozpęd do reform, nie każdy nawał papierowych kreacyj jest tem, czem się być mieni, i nie każdy będzie trwały. Natura ludzka, natura rzeczy, natura życia jest wprawdzie do czasu cierpliwa, ale oddziaływa nieubłaganie, nieraz w sposoby najmniej przewidziane. Utrzyma się nie to, co gromko nakazane i z aplauzem przyjęte, lecz to, co z naturą rzeczy w zgodzie, a w sobie tak zestrojone, by móc stawić czoła falom czasu a w równowadze pozostać.

I rzecz druga na myśl przychodzi. Życie jest dziedziną *ciągłości*. Póki trwa, nie urywa się, lecz się przeobraża. Więc i organiczne kształty w historji to będą te, które nie zechcą niszczyć przeszłości, lecz ją przekształcać, do niej nawiązywać, z niej czerpać energję i pierwiastki dla nowo powstających formacji, — a taki właśnie bieg rzeczy odpowiada też *narodowemu* ich pojęciu. Zarysowywałaby się tutaj taka dwoista natura idącego przesilenia, że surowe ono będzie dla tego, co było i jest, lecz niemniej surowem dla tego wszystkiego, co na jego tle się rodzi. Tak zwykle bywa w czasach zmian gwałtownych. Rozigrane siły nie ułożą się do równowagi byle jak i byle kiedy, lecz wtedy dopiero, gdy im umiejętne ręce utorują drogę godnego a silnego wyładowania.

Tu warto wspomnieć o jednem jeszcze. Za mało się pamięta, że jednym z głównych tematów filozofji nowożytnej była *wolność*, i że na tym punkcie doszła ona do niezmiernie uderzających wyników. Wyrzekła ona m. in., że wolność wcale nie jest zaprzeczeniem prawa, lecz przeciwnie, najwyższem, najdoskonalszem prawem. Myśl polska poszła dalej w tymże kierunku. Kto mówi „wolność“ ten w istocie coś lepszego chce wyrazić niż czysto negatywne usunięcie przymusu. I na polu historycznem wyższe szczeble rozwoju społeczeństw mogą być tylko wyższemi formami rozwoju wolności. Ma to znaczenie podwójne. Z jednej strony nie prowadzi do wolności, bo nie jest wolnością wyuzdane „hulaj dusza“ na żadnem polu i w żadnych warunkach. Z drugiej, mylące dla oka początki, będące prostem zaprzeczeniem wolności, zwykłem jej podeptaniem, do niczego nie prowadzą, ostać się nie mogą, bo także są pozorem tylko i prostem złudzeniem, skazaną na bezpłodność próbą oszukania natury ludzkiego ducha.

Wynika z tego, że w tej dziedzinie trafienie w sedno, wejście na właściwą drogę, odpowiednie unormowanie rzeczy jest trudne, ale pewien stopień doskonałości trudny jest do osiągnięcia wszędzie. W pomniejszych sferach życia, w sztuce, w badaniach naukowych, — nigdzie jednostronność, przesada, nierzetelność nie popłaca. Jakżeby miało być inaczej w tej, która poniekąd wszystkie inne ogarnia. Zresztą rzekoma trudność trwa zawsze tylko tak długo, dopóki się jej pokonywać nie nauczymy, — i nie może ona być powodem do wyrzeczenia się postulatów, których potrzeba i uprawnienie wątpliwości nie ulega.

I oto ta śmiałość w nie cofaniu się przed wymaganiami wysokiemi, a zarazem pewna ideowa *wybredność* wypowiada się szczególnie dobitnie w teorji, którąbyśmy polską nauką o *świętości środków* nazwać śmiali. Czy cel uświęca środki, to stary temat moralnych kontrwersji, a twierdząca odpowiedź na to pytanie znajdowała zawsze zdecydowanych przeciwników. Ale Polacy poszli o krok dalej i nie cofnęli się przed podjęciem dyskusji w sferze najzupełniej konkretnej, realnej, historycznej i politycznej.

Kto chce iskier z czarta kuźni,
By przepalić czarta moc,
Ten świat w gorszą spycha noc,
Ten mądrości wiecznej bluźni.

rymował Krasiński.

Coprawda to dyskusje nawiązywane do tego właśnie postulatu naszej myśli narodowej obfitowały nieraz w uwagi powierzchowne, a nawet dziecinne. Czasem zdawać się mogło, jakby takie wezwanie do wykreślenia z programu — metod działań występnych, plugawych lub nikczemnych było jednoznacznem z wytrąceniem narodowi z ręki najskuteczniejszej broni w walce o swoją przyszłość. Możnaby przypuszczać, że ze zbrodni i znieprawienia sumień niebywałe błogosławieństwa spływają na narody. Tymczasem jest chyba wręcz odwrotnie. Byt narodów funduje i dzieł ich dokonywa nieobliczalna wprost suma zalet i wartości, a zatem wysiłków, ofiar i poświęceń, i tylko na tym olbrzymim kapitale udaje się niekiedy pasorzytować do czasu postaciom, które niesłychanie się łudzą, co do źródła powodzenia swych małych przebiegłości lub niegodziwych przedsięwzięć.

A jeżeli znany współczesny pisarz angielski mógł powiedzieć, że historja cała jest jednym stekiem gruzów z niewyzyskanych wielkich możliwości, to trudno inne na to wskazać wytłumaczenia, jak brak równie „wielkich“ środków, któreby tym możliwościom były służyły, a wieczną przewagą poczynań w istocie małych, niskich, lub nie dorastających do swych przeznaczeń, choćby do czasu miały pozory potęgi i powodzenia. Należy zresztą myśl każdą naświetlać całokształtem poglądów, do których należy. Nie o to zaś chodziło naszym myślicielom, ani nie o to chodzi dziś, czy fortelami lub okrucieństwem utrzymać się mógł u władzy jakiś tyran grecki lub kondotjer włoski.

Tak stanęły rzeczy na świecie, że podstępami, przymusem lub budzeniem złudzeń na dłuższą metę nic niema do osiągnięcia. To się wszystko zużyło i przeżyło i tylko rzetelne zdobycze, realna twórczość, żywotna organizacja i z niej płynąca istotna poprawa będą się liczyć i na przyszłości korzystnie zaważą. I tej próby życia nie wytrzymują środeczki nierzetelne lub podejrzane, a nikczemne lub zbrodnicze wykazują całą swą mizerję i stokrotnie rację mieli i trafnie przyszłość odgadywali filozofowie polscy, kiedy to głosili i przepowiadali.

Zresztą mamy w świeżej pamięci przykłady najwyższej miary i mamy prawo się zapytać, jakie to nikczemności lub występki, rzekomo wysokim celom służące, przyczyniły się np. do wrócenia Polsce niepodległej bytu? Jasnem jest, że żadna, że natomiast jedyną realną podstawą, na której nasz naród się dźwignął było niepospolite poświęcenie i bohaterstwo całych pokoleń, które mu pozwoliły, nietkniętym przechować swego ducha i odbudowę państwa uczynić pewnego rodzaju koniecznością.

To też i w tem się nie mylili mistrze polskiej myśli, gdy za warunek dopięcia tych rzeczy, od których pomyślniejsza przyszłość świata i pojedyńczych narodów zawisła, wymienili *religję*. To nie była koncesja na rzecz jakiegoś rzewnego sentymentu, lecz wręcz przeciwnie, najzupełniej trzeźwe i ścisłe zeznanie, że wielkie cele osiąga się tylko wielkiemi i największemi środkami. A w duchu ludzkim niezupełne i niedojrzałe, a zatem znowu kruche, zawodne i nieskuteczne jest wszystko, co nie znalazło ekwiwalentu w sferze najwyższej, jaką jest sfera religijna. Epoki niereligijne rzeczy trwałych nie tworzą. Jakieżby w bezbożnem natchnieniu miały się znaleść środki na sprostanie potrzebom, wypływającym z olbrzymich przewrotów historji, jakżeby się miały w bezreligijnym świecie zrodzić nieobliczalne siły, potrzebne do osiągnięcia tych wysokich celów, których urzeczywistnienie oznaczałoby dopiero przezwyciężenie wielkiego, dziejowego przesilenia, które rozpętało się wkoło nas. I tu nasz „romantyzm“ nietylko się zdaje wytrzymać gróbę czasu, lecz i naszym czasom wykazywać przyszłość.

---

za przywiezienie do chrztu dziecka podczas zimy ze wsi odległej o 18 klm. Zdaniem jego mógł je ochrzcić w cerkwi, „bo Bóg jest jeden tu i tam“.

Wskutek takiego stanu rzeczy nic dziwnego, że „*całe* masy ludności obrządku łacińskiego — pisze Zamorski — przechodziły na ruszczyznę, bo im było bliżej do cerkwi, bo *ksiądz unicki mówił do nich chłopskim językiem*, bo ich wpisano przy chrzcie, ślubie, pogrzebie w księgi cerkiewne. *Nie przesadzę, jeżeli powiem, że połowa Rusinów pochodzi z Polaków, przepisanych na unję w drugiej połowie XIX wieku.* Kto został unitą, zostawał Rusinem. Obok zapisywania do ksiąg cerkiewnych przy udzielaniu posług religijnych, coraz częściej zdarzały się wypadki masowego przepisywania się dorosłych na unję. W roku (1900) mojego przybycia do Tarnopola w dwuch wsiach: Berezowicy Wielkiej i Dołżance trzysta rodzin zgórą zgłosiło w starostwie przejście na unję“**).

Kres temu masowemu ruszczeniu się chłopa polskiego położyła dopiero akcja budowania kościołów i kaplic rzymsko-katolickich podjęta przez śp. arcyb. dr. Bilczewskiego. Jednak jeszcze na początku naszego stulecia istniało bardzo wielu Polaków wyznania grecko - katolickiego, do których Metropolita Szeptycki w roku 1904 napisał list pasterski po polsku. W następnych latach tego już zaniechal ze względów politycznych, uważając każdego unitę, czy on chce, czy nie chce, za Rusina. Zresztą ci Polacy wyznania unickiego, o ile się jeszcze nie zruszczyli, dziś boją się nawet przyznać do polskości, w obawie przed zemstą ze strony hajdamaczyzny. Dzieci zaś ich są już kompletnie zrutynizowane.

W miarę zbliżania się do wojny antagonizm polsko - ruski, celowo podsycany i rozdmuchiwany przez Austrję ciągle wzrastał, przeradzając się nawet w nieubłaganą nienawiść. Wojna i klęska Austrji rozniecily go jeszcze więcej. Nastąpił wybuch w postaci dążenia Rusinów do opanowania Lwowa i całej Małopolski Wschodniej. Lwów jednak bohatersko odparł ten zamach, a Ziemia Czerwieńska przy pomocy Polaków z innych dzielnic połączyła się z Macierzą.

I zdawało się, że już skończyły się cierpienia i walki Polaków galicyjskich, zdanych na własne siły w obronie zagrożonej ojczyzny. Niestety, tak się nie stało. Nastąpiły bowiem dalsze wzmagania się polskości z naporem t. zw. ruchu „ukraińskiego“ i niejeden z polskich działaczów narodowych z czasów przedwojennych doczekał się tego, że dziś musi patrzeć na powolną ruinę dotychczasowego wysiłku, na zamieranie polskich placówek, które kiedyś wraz z innymi z taką ochotą i entuzjazmem budował.

Takie to są szkicowe wyimki z dziejowego obrazu Małopolski Wschodniej. Omawiając je, położyliśmy specjalnie nacisk na historję polskiego osadnictwa dla wyraźnego uwypuklenia różnic, jakie zachodzą między owocami celowej i mądrej polskiej polityki osiedleńczej króla Kazimierza i jego następców, a plonami bezmyślnej polityki osadniczej polskiej magnaterji w XVII i XVIII wieku. Jednocześnie staraliśmy się wskazać na źródło dzisiejszego stanu rzeczy w Małopolsce Wschodniej, by tem lepiej wykazać błędy współczesnej polityki polskiej w stosunku do t. zw. „Ukraińców“.

JANUSZ MICHAŁOWSKI.

**) „Przegląd Wszechpolski“, 1924. Str. 423—24. Jan Zamorski: „Praca oświatowa i narodowa na Podolu Galicyjskiem“.



Drużka z okolic Zaleszczyk

„ZETOWI“ w odpowiedzi

Warszawski „Zet“, zamieścił w numerze z dnia 1 grudnia 1934 r. artykuł wstępny pt. Narodowcy a „rewolucja duchowa“, polemizujący z artykułami naszemi („Głos“, dnia 1 listopada 1934 r.) pt. „Na narodowym szańcu“ i „Czy zmierzch idei niepodległościowej?“. W związku z tem kreślimy tutaj te kilka uwag.

CZY NIEKONSEKWENCJA?

„Zet“ robi nam zarzut, że jesteśmy niekonsekwentni w swoich twierdzeniach, że w jednem miejscu wypisujemy co innego, a w innem znowu co innego, a mianowicie, że w artykule pt. „Na narodowym szańcu“ piszemy, że Polsce brak wszelkiej idei i że ideę tę należy dopiero stworzyć, a w artykule pt. „Czy zmierzch idei niepodległościowej“ twierdzimy, że Polska tę właśnie ideę ma w postaci idei niepodległościowej.

„Zdawałoby się, że p. M. S. — czytamy w „Zecie“ — pisząc, że „masy polskie tęsknią za realizacją jakiejś wielkiej idei“, stwierdza temsamem, że tej idei jeszcze niema i trzeba ją dopiero stworzyć (w czem byłby zgodny z nami). Cóż kiedy kolega jego ze str. 2-giej, niejaki p. S. protestuje gwałtownie przeciwko mniemaniu, że Polska nie ma dziś idei, gdyż zdaniem jego ma ona „ideję niepodległościową“, od której „Zet“ w swoim doktrynerstwie chciałby Polskę odciągnąć“. Otóż ośmielamy się tutaj zwrócić uwagę na to, że jeżeli ktoś za czemś tęskni to naszem zdaniem, nie znaczy jeszcze, że przedmiotu jego tęsknoty niema wogóle ani w królestwie tego, ani też tamtego świata. Przypuśćmy, że publicysta „Zetu“ zatęskni za ukochaną, to czy znaczy temsamem, że ukochanej niema wogóle na świecie. To też wcale nie twierdziliśmy, że przedmiotu tęsknoty mas polskich wogóle niema, już bowiem następujące zdania po tem, które „Zetowi“ dogadzało zacytować, brzmią: „Nic te żdziwnego, że tęsknota ich (mas) i nietylko ich, bo drzemie ona zagłuszana nawet na dnie duszy wrogów, zwraca się z pełnem zaufaniem ku obozowi narodowemu. Wszyscy to wyczuwają instynktownie, że dopiero przez obóz narodowy Polska może stać się realizatorką wielkiej idei, że dopiero przez obóz narodowy stanie ona w gronie narodów jako w pełni dojrzała indywidualność, że tylko obóz narodowy może wprzągnąć najszersze masy społeczeństwa w zwarty i jednolity front pracy i wydobyć z nich olbrzymi zasób energji, entuzjazmu, zapału i nowych sił, i że dokonać tych wyzwoleń może tylko zupełne zwycięstwo obozu narodowego, a w każdym razie integralnego jego programu. To też można powiedzieć ze spokojem, że w obozie narodowym olbrzymia większość społeczeństwa widzi dziś — zbawienie“. I trzeba niemałej dokazać sztuki, aby po takiem wynurzeniu przypuszczać, że my stwierdzaliśmy, że niema w Polsce wogóle żadnej jeszcze idei i że ją dopiero trzeba stworzyć. A jeżeli wskazywaliśmy na obóz narodowy, jako na tejże idei piastuna i na jego program, to chyba nie było z naszej strony niekonsekwencją, jeżeli równocześnie wystąpiliśmy w obronie idei niepodległościowej, uważając ją za jedną z głównych sił pędnych tego programu.

Przypuśćmy zaś nawet, że „Zetowi“ udałoby sęi udowodnić, jakobyśmy twierdzili, że w Polsce niema idei przewodniej i że ją trzeba dopiero stworzyć, to jeszcze wtedy trudnoby było wykazać naszą niekonsekwencję w obronie idei niepodległościowej. Pisaliśmy bowiem: „Dla obozu narodowego, dla którego państwo była zawsze tylko formą, a naród treścią, dla tego obozu było odbudowanie państwa polskiego tylko pewnym etapem, było tylko jedną z prac niepodległościwych, które naród na przestrzeni swych dziejów wykonuje stale, jak długo tylko żyje. W pojęciu przecież narodowca historja każdego narodu tak jak i każdej jednostki jest nieustającą walką o niepodległość, własnego „ja“, o integralność swej osobowości, o nieograniczone prawo stwarzania nowych form i nowych wartości“. Dla nas więc idea niepodległości jest i musi być zasadniczym współczynnikiem postawy życiowej człowieka i postawy każdego organicznego zespołu. I idei tej można bronić nawet wtedy, kiedy się nie wie, jak walka o jej realizację będzie wyglądała w najbliższym etapie — walka prowadzona dla celów bliższych, przybierających w wyobraźni mas formę ideałów, które dopiero się tworzą, a które objęte są zasadniczą ideą przewodnią, ideą niepodległości.

O CO WŁAŚCIWIE POSZŁO?

Co właściwie stało się kością niezgody między nami, a „Zetem?“ „Zet“ twierdzi, że „idea niepodległościowa“ się skończyła, my zaś twierdziliśmy, że nie „idea niepodległościowa“ tylko ludzie, którzy ją dotychczas monopolizowali. Czyż „Zet“ przeprowadził jednak druzgocący dowód, że nie mamy racji. Wydaje nam się, że nie. Całą słabość swoich rozumowań zdradza naszem zdaniem „Zet“ jednym manewrem, a mianowicie to co my nazywamy ideą niepodległościową radzi nazwać ideą „wyzwoleńczą“. Wybieg ten oczywiście nie zmienia postaci rzeczy, pozwala jednak na pokawałkowanie tego, co jest dla nas pewnym ewolucyjnym ciągiem i na ponaklejanie różnych etykiet, na różne etapy walki o niepodległość. A więc walka o odbudowę własnego państwa to „idea niepodległości“, rewolucja ludowo - narodowa, to „idea wyzwoleńcza“. To mechaniczne pokawałkowanie pozwala wytwarzać sugestję obokrobności pewnych zjawisk zamiast ich organicznej porobności i ciągłości, a w ślad za tem wydawać apodyktyczne wyroki: to przestało być aktualne, to się spóźniło itd. To również pozwala robić z obozu narodowego spóźnioną grupę, nierozumiejącą ducha dziejów Polski i roli, jaką ma do spełnienia, a w związku z tem do odebrania mu tytułu reprezentanta rozbudzonej świadomości narodowej samej w sobie. Konieczność zastosowania takiego wybiegu przemawia zatem raczej w całej rozciągłości za nasza tezą, że prawdziwie wyzwoleńczym i niepodległościowym we wszystkich bez wyjątku dziedzinach życia narodowego był zawsze i nim będzie obóz narodowy, że po tej drodze szedł z całą świadomością. To też dziwić się należy, że publicysta „Zetu“, który również cel swój widzi rzekomo w *wyzwoleniu* pierwiastków rdzennie narodowych, zgłasza pod adresem obozu narodowego ciągłe pretensje.

TOŻSAMOŚĆ I ANALOGJA.

Dalszym argumentem, który ma służyć do pognębienia obozu narodowego, a wytaczanym przez „Zet“, jest twierdzenie zresztą gołosłowne („my reprezentujemy pogląd“, „nie przestajemy twierdzić“ oto cała argumentacja), że idea „rewolucji narodowej“ jest ideą importowaną, że jest obcą psychice polskiej i że nie wyrasta z jej rdzenia. To też „Zet“ bez większego protestu zgodziłby się na to, że hitleryzm, faszyzm i ruch wszechpolski są jako ideologja same w sobie czemś identycznem. Tego oczywiście nigdy nie twierdziliśmy, ale stanęliśmy raczej na stanowisku, że ruch hitlerowski, faszystowski i wszechpolski są dla tych organizmów narodowych, na których wyrastają zjawiskami analogicznemi. Zachodzi zaś gruba różnica pomiędzy twierdzeniem o tożsamości zjawisk, a ich analogiczności. W wypadku pierwszym możnaby mówić o mechanicznem kopjowaniu i narzucaniu z zewnątrz, wypadek drugi zmusza sam przez się do organicznego traktowania zjawisk, a więc do jaknajpilniejszego podkreślania cech indywidualnych, właśnie do wyzwalania elementów rdzennych. Wydaje nam się więc, że ta rola, jaką sobie wyznacza w życiu polskiem „Zet“, jest objęta w pewnej mierze działalnością obozu narodowego, tylko, że „Zet“ zachowuje się tak, jakby na żaden sposób nie chciał przyjąć do wiadomości, że narodowi polskiemu od czasów Wrońskiego przybyło sto lat wewnętrznego rozwoju i dojrzewania, natomiast chętnie widziałby, aby narodowi polskiemu lata te wypadły jakoś z pamięci i aby wrócił i zacieśnił pole swej świadomości do stanu z poprzednich etapów rozwojowych. W życiu poszczególnych ludzi można spotkać się z podobnym wypadkiem, lud mówi o takich, że dostali „dziecinnego rozumu“. Otóż obóz narodowy nie ma bynajmniej zamiaru zalecać narodowi jako drogę wyjścia z sytuacji zdziecinnienia.

BEZKIERUNKOWA REWOLUCJA

Publicysta „Zetu“, określając stanowisko i rolę swego pisma na tle dwóch głównych obozów politycznych czynnych w Polsce, z których działalność jednego nazywa „rewolucją państwowo - twórczą“, drugiego „rewolucją narodową“, twierdzi, że w odróżnieniu od nich celem jego jest „rewolucja duchowa“. Odrazu uderza nas to, że (omijając sztuczność tego podziału)) o ile dwie pierwsze rewolucje mają wyraźny kierunek, to ta trzecia „Zetowa“, tego kierunku nie ma. Co to jest „rewolucja duchowa?“. Toć i dwie poprzednie są „rewolucjami duchowemi“. A właśnie, o ile „Zet“ silny wydaje się być w negacji, w krytyce, to z chwilą, kiedy przychodzi mu wypowiedziec się pozytywnie, zaczyna być gadatliwy, zaczyna się szeroko i patetycznie tłumaczyć, nie może nawet ściśle określić kierunku swej „rewolucji“, tak, że wydaje się niestety, że i on nie zdołał się ustrzec przed „tak charakterystycznem dla umysłowości polskiej“ t. zw. „wkoło Macieju“. A może „Zet“ nie ma odwagi, wyciągnąć wniosków z całej swej postawy, może się wstydzi, to go w tem wyręczając nadamy rewolucji jego kierunek i nazwiemy ją „rewolucją mesjanistyczną“. Czy „Zet“ wierzy w jej możliwość? My odpowiedzieliśmy na to właśnie już poprzednio, mówiąc o trudności przekreślania w życiu narodu setek lat jego rozwoju, tu zaś przytoczymy słowa największego poety nowej Polski tego, „który całą przeszłość w siebie wchłonął, a olbrzymi cień swój na najdalszą przyszłość rzucił“, Kasprowicza, może one publicyście „Zetu“ coś powiedzą: „Nie rozumiem przeszłości. „Pan Tadeusz“, historyczne dramaty Słowackiego, to jest obcy dla mnie świat. Uznaję poetycką ich wartość, piękno pejzażu, ale na tem koniec... W dramatach Słowackiego, oprócz pewnych metafizycznych ustępów, nic nie jest mi zrozumiałe. To jest moja tragedja. Jestem człowiekiem nawskroś nowożytnym, nie mogę wżyć się w ten umarły świat. Żeby nie nasi paskudni ludowcy, przyłączyłbym się do tej Polski Ludowej, aby stworzyć prawdziwą Polskę bohaterską — ludową!“ . ((Kasprowiczowa, Dziennik Nr. 75).

LOGIKA HISTORJI.

„Zet“ powołuje się w pewnym momencie na logikę historji.

Jest to niewątpliwie grube nieporozumienie. Co jak co, ale to, co można nazwać logiką historji, jest i musi być dla zatwardziałego racjonalisty, a za takiego uważa się publicysta „Zetu“ dziedziną zupełnie niedostępną, chociażby nawet sprawdzało mu się takie czy inne proroctwo. Tu bowiem nie panuje w całej rozciągłości zasada przyczynowości. Gdyby publicysta „Zetu“ miał zrozumienie dla tego, co stanowi logikę historji, to nigdy nie napisałby tych słów :„Odpowiemy na to, że ufamy w logikę historji, i nie pozwalamy sobie przypuścić, by kreacje największych genjuszów, jakich świat wydał, mogły być przekreślone, jako niepotrzebne, odrzucane, jak wyświechtany szpargał. Stworzono ją poto, aby były poznane, wcielone w czyn, zrealizowane.“ Jest to postawa belfra, któremu się wydaje, że wszystko, co w pocie czoła wydłubał ma doniosłość wszechludzką i zżyma się, że wszyscy nie są tego zdania. Nie ma on tego zrozumienia, że takie określenia jak głęboki, piękny, wspaniały są dla logiki historji obojętne i że zasadniczym jej „prawem“ jest — kaprys, a punktem wyjścia dla oceny wartości — skuteczność. I to nam tłumaczy wystarczająco dlaczego idea, zdaniem publicysty „Zetu“, „tak prymitywna i jednostronna jak faszyzm“ — „wzięła“, a Hoene - Wroński pomimo całej swej głębi i monumentalności — nie „wziął“.

DZIWNA MANIERA.

W postawie „Zetu“ przebija pewien imperjalizm duchowy, dążność do ekspansji kultury polskiej, do zakrólowania jej ideałów nad całą Europą („Polska nad Europą“), świetne. (Ciąg dalszy na str. 9-ej)

TADEUSZ POWIDZKI

Historja pewnej miłości

Po swym ostatnim pobycie w Poznaniu, w dniu narodowego święta jugosłowiańskiego, prof. Juljusz Beneszić zaszczycił mnie nadesłaniem swych „Dwóch odczytów o Polakach i o sobie“.

Przeczytałem je jednym tchem. Tak są ciekawe, swą treścią zarówno, jak i piękną, lekką formą, pełną poezji i jakiegoś nieuchwytnego fluidu. Tem czemś nieuchwytnem, co jednak bardzo wyraźnie chwyta człowieka za serce, to głębokie, szczere uczucie dla Polski, — uczucie, w którem niema ani cienia jakiegokolwiek interesu osobistego.

Poetyczna spowiedź tłómacza Słowackiego i Wyspiańskiego opowiada nam dyskretnie o tem, jak zakwitł ten piękny kwiat uczucia.

Wiersze z „Psałterza“ Kochanowskiego, wplecione w chorwackie tłumaczenie „Pana Podstolego“, pożyczone przypadkowo z bibljoteki gimnazjalnej w Osijeku nad Drawą, niedaleko ujścia jej do Dunaju, stały się „fatalnym“ początkiem miłości. Nietyle może wiersze, ile podobieństwo obu języków przy porównywaniu przekładu z oryginałem, umieszczonym w odsyłaczu.

> „W tej chwili stało się pokrewieństwo języków słowiańskich dla mnie odkryciem, przyjemną niespodzianką, jasnem uświadomieniem, że ja osobiście jak i mój naród nie jesteśmy osamotnieni“.

W duszy kilkunastoletniego chłopca rozbudza to niezłomną wolę nauczenia się naszego języka. Kupuje więc sobie gramatykę języka polskiego — niemiecką, bo innej nie było. Gdy zwraca się do brata, studjującego już w Wiedniu, z prośbą o przysłanie mu jakiej książki polskiej, otrzymuje morał, aby „lepiej uczył się przedmiotów szkolnych“. Jest jednak w uczniaku chorwackim coś z hartu i woli „uskoków“. Na własną rękę sprowadza z Zagrzebia pierwszy tom pism Sienkiewicza, wydany codopiero przez Gebethnera. „Jak pięknie pachniała ta książka świeżym drukiem“ . Potem sprowadza tanie wydania klasyków polskich i za pomocą słownika polsko - niemieckiego tłómaczy już wiersze Mickiewicza i Słowackiego — na swój młodociany sposób.

Najciekawszą jest jednak w „Dwóch odczytach“ szczera i prosta opowieść tłómacza Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego, Wyspiańskiego, Sienkiewicza, Żeromskiego, Rydla, Struga, Fredry i całego szeregu współczesnych naszych komedjopisarzy (razem 65 tłómaczeń) na język chorwacki ,jak to jako szóstoklasista w r. 1899 nawiązywał stosunki z kolegami w Polsce.

> „Ułożyłem — pisze — na pocztówce mniejwięcej taki polski tekst: „Do kolegów uczniów IV klasy gimnazjalnej. Jestem Chorwatem i pragnę nauczyć się po polsku za pośrednictwem korespondencji, bo tutaj nikt po polsku nie umie. Proszę o odpowiedź, któryby z kolegów zechciał ze mną korespondować. Nawzajem mogę dawać wskazówki, jak można nauczyć się po chorwacku“. Takich pocztówek napisałem kilkanaście i wysłałem po jednej do Krakowa, Lwowa, Stanisławowa, Wilna, Lublina, Łodzi, Torunia, a do Warszawy aż trzy, by choć jedna trafiła do celu. Z jaką ciekawością oczekiwałem odpowiedzi! Nadeszły. Z Krakowa, ze Lwowa, z Torunia, z Poznania, z Łodzi, nawet z Warszawy. Nawiązała się korespondencja, nadchodziły wąskie koperty z podłużnemi znaczkami niemieckiemi i karty i listy z Galicji. Nadchodziły później książki, fotografje, nuty, ja zaś tak samo przesyłałem chorwackie ilustracje, poezje, czasopisma. Zaczęła się naiwna i młoda wymiana myśli między chłopcami z nad Wisły i Warty, a mną, który oczekiwałem tych listów, jak gdyby były od kochanki“.

W tem miejscu pozwolę sobie wyrazić osobisty żal pod adresem autora „Dwóch odczytów“, że żadnej ze swych pocztówek nie zaadresował do Gniezna, w Polsce miasta przecież nienajpodlejszego, bo dumnego Lechem i orłami białemi, swą prastarą, pierwszą katedrą. Byłby tam znalazł takiego uczniaka, który przeczytawszy, co się dało z powieści południowo - słowiańskich Jeża, już wówczas zapłonął szczerą sympatją do dalekich braci na Bałkanach. A kolega z Osijeka byłby się od niego dowiedział — trzy lata później — rzeczy, ciekawszych może jeszcze, niż z innych listów z pod zaboru pruskiego, — o procesie gnieźnieńskim, o pruskiem więzieniu. I byłaby z tego ta korzyść, że ów uczniak już wówczas byłby się nauczył języka Gundulića, Marulića, Szenoi, Jelaczića i Strossmayera, — łatwiej, niż wtedy, kiedy zabrał się do tego po pięćdziesiątce.

Kapitalna jest charakterystyka Polaków z pod trzech zaborów na podstawie tej korespondencji. „Poznańczycy pisali naogół patrjotycznie, Galicjanie dydaktycznie (o wymowie i gramatyce) albo pesymistycznie, Królewiacy sangwinistycznie i pouczająco w dziedzinie historji i literatury“. Czy charakterystyka ta nie posiada i dziś jeszcze do pewnego stopnia znamion aktualności w odniesieniu do trzech dzielnic nowej Polski?

Prof. Beneszić cytuje szereg tych ówczesnych listów, wzbudzających u nas tyle wspomnień z minionej już szczęśliwie naszej smutnej przeszłości. Jakże ciemnemi dokumentami są zwłaszcza listy Poznańczyków, dowodzącemi, że my, pod Prusakiem, staczać musieliśmy o nasz język i naszą kulturę walkę stanowczo najcięższą. Mimo to Kazimiez P., uczeń gimnazjum Bergera, tylko „wzdychał, ale nie rozpaczał“. Tak samo inni Poznańczycy. W Galicji „Polska żyła, oddychała jak ryba na suchem, jednakże lepiej, aniżeli w Poznańskiem i Królestwie“. Tam „Kolo Polskie odgrywało ważną, dla Słowian południowych tak smutną rolę“.

Z treści tych listów, których setkę przyjaciel nasz jugosłowiański przechowuje troskliwie do dziś dnia, i z ducha literatury polskiej wyrastał ten piękny kwiat uczucia prof. Beneszićia do Polski, który stał się tak charakterystyczny dla całej jego twórczości i działalności. „Kto mnie nauczył przed 30 laty, co to jest Polska. Literatura od Kochanowskiego do Sienkiewicza i Orzeszkowej i mili i drodzy, wtedy dalecy, ale później spotkani koledzy, którym za ich trud jestem i zawsze będę wdzięczny“.

Do Polski prof. Beneszić „pchał się“ następnie, żeby w niej być. „Bo przyciagało mnie coś do swoich“. Więc w r. 1902 na stacji Szczakowa - Granica, wybrawszy się w kwietniu w lekkim paltociku „z już kwitnącej kasztanami i migdałami Syrmji nad Dunajem“ do Warszawy, ujrzał po raz pierw-

WITOLD KLINGER

Symonides z Amorgos „Jamby o kobietach”

W całości nigdy u nas nie tłumaczone starogreckie jamby o kobietach, które w przekładzie własnym, miarą oryginału dokonanym, oddaję dziś do rąk czytelnika polskiego, są dziełem poety, którego postać owinięta jest w gęste mgły oddalenia. Znamy jedynie jego imię i nazwę jego ojczyzny, i mówimy o nim, jako Symonidesie Amorgińczyku, t. j. na jońskiej wyspie Amorgos osiadłym; nie znamy natomiast ani przebiegu, ani chronologicznych granic jego życia, — i jedynie z ubocznych wskazań (rozumiem takie ustępy jego wierszy, które wyglądają na naśladowanie wierszy jambografa Archiloehosa, oraz okoliczność, że kolonizacja wyspy Thasos, w której uczestniczy ów Archilochos, jest wcześniejszą od kolonizacji wyspy Amorgos, w której bierze udział Symonides) domyślać się możemy, że, będąc młodszy od twórcy greckiego jambu literackiego, musiał on żyć i działać gdzieś w samym końcu VII wieku przed Chrystusem. Zupełnie więc nieuchwytny, jako człowiek, Symonides był długo również nieuchwytny, jako pisarz i artysta.

Tytuł „Jamby o kobietach“ w literaturze naukowej używany jest zwykle w odniesieniu do najdłuższego z dochowanych urywków (frg. 7, Diehl), który, zawierając charakterystykę 10 typów kobiecych, powszechnie pojmowany bywa, jako zamknięta, dla siebie istniejąca, całość; za odrębny również utwór, mający w sobie swój początek i koniec, uchodził doniedawna zespół wierszy, w zbiorach urywków poety figur. zwykle jako frg. 1., przedstawiający zaś w barwach niezmiernie ponurych bytowanie człowiecze. Dopiero piszącemu te słowa w pracy, ujętej początkowo i krócej po rosyjsku, później zaś i szczegółowiej po polsku, udało się wykazać, że dwa wspomniane tu zespoły wierszy to bynajmniej nie dwa odrębne i samoistne utwory, lecz dwa spore, ku sobie ciążące odłamy jednej większej całości, do której należały także niektóre z dochowanych drobnych urywków (frg. 6, 12).

Nie będę tu oczywiście wchodził w szczegóły swoich wywodów i argumentów — i pokrótce tylko zaznaczę, że urywek większy, tj. właściwe jamby o kobietach, w postaci dochowanej wygląda na utracony nietylko na końcu, gdzie myśl urywa w środku zdanie, ale także na początku, gdzie autor bez żadnego wstępu czy zagajenia wchodzi odrazu *„in medias res“*, zabierając się do ustalania różnych typów kobiecych, — urywek zaś mniejszy, ów mroczny obraz nędz i utrapień życia ludzkiego, robi wrażenie obciętego na końcu. Wszak zamykające ten zespół wierszy słowa: „Jednak, kto usłucha mnie, ten kochać zła nie będzie i na zgubę swą kierując myśli swoje, nie doświadczy mąk“ nie mogą w żadnym razie odnosić się do wyliczonych poprzednio cierpień i dolegliwości, bo przecież takich z samej natury ludzkiej wyrastających nieszczęść, jakiemi są wspomniane wyżej choroby, starość, śmierć, nikt nie kocha i w nich się nie lubuje, tak iż wszelkie rady i przestrogi poety są najzupełniej zbędne, lecz do innej jakiejś postaci zła, które człowiek z własnego wyboru i woli na siebie ściąga, a takiem właśnie złem jest jest według poety kobieta, której wyłącznie poświęcony jest ów drugi — długi, bo aż 118 wierszy liczący — urywek.

Tak więc zagadka, która się kończy frg 1, znajduje swe całkowite rozwiązanie we frg. 7, i ścisły wewnętrzny związek obu tych urywków ze sobą zostaje ponad wszelką wątpliwość ustalony.

Jako całość, utwór Symonidesa przedstawia epopeę dydaktyczną, utrzymaną wyraźnie w manierze Hezjoda, którego jambograf, jak to gdzieindziej szczegółowemi zestawieniami wykazałem, naśladuje w stylu i języku, obrazach i myślach, i różniącą się odeń jedynie swą formą jambiczną przez tendencję satyryczno podpowiedzianą. Hezjodowemu „katalogowi niewiast“, dostojnych heroin, które w małżeństwie z bogami dały początek wielu rodom szlachetnym, Symonides przeciwstawia swój katalog kobiet złych i przewrotnych, które, pochodząc od różnych zwierząt, żywiołów, owadów, od nich przejęły liczne cechy ujemne i zdrożne, czyniące je zazwyczaj nieszczęściem i udręczeniem mężczyzn.

Dotychczas sądzono, że epos dydaktyczny w jambach jest wytworem stosunkowo późnych czasów aleksandryjskich. Obecnie staje się jasnem, że ma on historję o wiele dłuższą, sięgającą początkami swemi jeszcze archaicznego okresu literatury greckiej.

frg. 1.

Zeus gromowładny, chłopcze, władzę zwierzchnią ma
Nad wszystkiem, co istnieje, rządząc, jako chce.
Rozumu w ludziach niemasz, i jak zioła pól,
Istoty jednodniowe, życie pędzim swe,
Nie wiedząc, jaki koniec da każdemu bóg.
Nadzieja jednak ufna wszystkich żywi nas,
Choć próżne snujem mrzonki, — i wygląda ten
Nadejścia dnia szczęsnego, pory roku ów,
A tego niemasz, co nie wierzy, *że* za rok
W Plutosa skarbiec, w dom jak miły wstąpi gość.
Lecz nim u celu staniem, starość wstrętna już
Dosięga tych, zaś innych chorób zgubnych moc
Unosi, innych jeszcze, których Ares zmógł,
Posyła Hades władca w ziemi czarnej głąb.
Znów inni, wichrem srogim uniesieni w dal
I falą mętnej toni, swą znajdują śmierć
Na morzu, gdy szukali zysków, aby żyć.
Związuje inny stryczek — o nieszczęsna śmierć! —
I własną wiedzion wolą, rzuca światło dnia.
Zło żadne nas nie minie: niezliczone wciąż
Nad ludźmi krążą Kery, niewymowne są
Ich nędze i cierpienia... Jednak kto usłucha mnie,
Ten kochać zła nie będzie i na zgubę swą
Kierując myśli swoje, nie doświadczy mąk.

frg. 6.

Gdy żona zła czy dobra, nad nią w świecie nic
Gorszego lub lepszego nie zdobędzie mąż.

frg. 7.

Odmienne od początku sam uczynił bóg
Umysły kobiet. Jedną z szczeciniastej więc
On wywiódł świni. Wszystko w domu baby tej,
W nieładzie, w brudzie leży, toczy się do stóp,
Zaś sama, nieumyta, w szacie brudnej, wciąż
Wśród śmiecia siedzi tylko i porasta w tłuszcz.

Znów inną z złośliwego lisa zrobił bóg,
Wszechwiedną zgoła żonę: nie ukryje się
Przed tą kobietą złego ni lepszego nic,
I rzecz tę samą czasem nazwie ona złą,
Zaś czasem dobrą: kaprys coraz nowy ma.

Znów inną z suki. Zła jest, cała w matkę ta.
Ta żona wszystko wiedzieć, wszystko słyszeć chce
I gdy myszkuje wszędzie i swój wścibia nos,
Ujada, choć nikogo nie spostrzega wkrąg.
Nie zdoła mąż jej wstrzymać ani groźbą swą,
Ni w gniewie zęby głazem wybijając z szczęk,
Ani sięgając nawet do łagodnych słów,
Lecz choćby pośród obcych znajdowała się
Ma zawsze w pogotowiu swój nieznośny wrzask.

Znów inną ulepili z ziemi bogi, by
Mężowi dać — kalekę. Wszakże, co jest złe,
Co też jest dobre, żona nie rozróżnia ta,
I jedną tylko sztukę, jeden kunszt zna: jeść.
A gdy wichurę srogą w zimie ześle bóg,
Do ognia, marznąc, ławy nie przysunie swej.

Znów inną morze rodzi: dwie w niej dusze tkwią,—
Więc dnia jednego śmieje i raduje się,
I chwali ją, ujrzawszy, każdy domu gość:
„Piękniejszej ani lepszej niemasz od niej, nie,
Kobiety wśród tych wszystkich, które żyją dziś“.
Innego — niepodobna ani ujrzeć ją,
Ani się zbliżyć do niej: w taki wpada szał
Bezmierny, niby suka przy szczeniątkach swych,
I jednakowo cierpka i niemiła jest,
Czy to przyjaciel przyjdzie do niej w dom, czy wróg,
Jak morze, które czasem nieruchomo śpi,
Nikomu nie szkodząc — zwłaszcza w lata dniach —
Żeglarzom radość wielka, czasem wpada w szał
I z głuchym rykiem fale za falami gna.
Do morza więc podobne żony takiej są
Porywy: wszak naturę morze zmienną ma.

Z oślicy inna płowej, z grzbietem startym, jest.
Ta, skoro ją przynagli i wyłaje mąż,
Ze wszystkiem się pogodzi i uczyni mu
Po myśli. Za to w nocy, w dzień wciąż je,
Czy przy ognisku siedzi, czy to w kącie gdzieś.
Zarazem gach, który dla miłosnych spraw
Przybędzie, rada przyjmie i nie pyta, kto.

Z łasicy inna: podły to, nikczemny ród,
Bo piękno, powab, słodycz, — zgoła wszystko, co
Jest zdolne miłość wzniecić, — obce żonie tej;
Coprawda, uciech łoża wiecznie głodna jest,
Lecz w własnym swoim mężu budzi tylko wstręt;
Sąsiadom przytem szkodzi, kradnąc, co się da,
Nieczystych bydląt mięso jada często też.

Znów innej długogrzywa, rozpieszczona klacz
Jest matką. Ciężkiej pracy nie chce ona znać:
Nie dźwignie nigdy sita, żaren ani tknie,
Też śmiecia nie wyniesie poza domu próg,
Do pieca się nie zbliży, sadzy bojąc się,
Mężowi zaś pieszczotę z musu tylko da.
Lecz po dwa razy na dzień kąpie się lub trzy,
Olejkiem wonnym członki namaszczając swe,
Kędziory bujne zawsze rozczesane ma,
Przyozdobione nadto w barwne kwiecie pól.
Ach, co za piekny widok jest kobieta ta
Dla obcych, zaś dla męża jakie straszne zło,
Chyba że jest nim jaki tyran albo król,
Co cieszy serce swoje dziwem takim rad!

Znów inną z małpy wywiód bóg: ten ród
Zeus mężom na największe podarował zło:
Szpetniejszej niemasz twarzy, — i gdy żona ta
Przez miasto kroczy, wzbudza wszystkich ludzi śmiech,
Bo szyję ma zbyt krótką, ledwie rusza się,
Bez bioder, same kości... O nieszczęsiy mąż,
Co taką biedą musi w swe ramiona brać!
Za to podstępy wszelkie i wykręty zna,
Jak małpa: śmiechem twarzy nie rozjaśni swej,
Dobrego nic nie zrobi, ale o to dba
I o tem tylko cały myśli ona dzień,
Jakby wyrządzić komu co największe zło.

Tę wreszcie — z pszczoły. Szczęśliw, kto posiądzie ją.
Obmowa nie dotyka jednej tylko tej:
Pod jej rządami wzrasta i rozkwita dom,
Kochana, z kochającym mężem więdnie swym,
Potomstwo mu zrodziwzsy piękne, sławne wkrąg.
I tem wśród innych wszelkich się wyróżnia żon,
Że bije od niej wkoło boski wdzięk i czar,
Zaś z niewiastami chętnie nie zasiada tam,
Gdzie lubią pogawędki nieprzystojne wieść.
Kobietę tę, najlepszą i najmędrszą, Zeus
Darował mężom, jako najprzedniejszy dar,
Zaś wszelki inny rodzaj z woli Zeusa jest
Nieszczęściem dla małżonków i zostanie niem.

Bo co uczynił wielki Zeus najgorszem złem?
Kobiety: choć się widzi korzyść, jaka z nich
W istocie dla swych mężów złem największem są.
Bo dnia jednego mile nie przepędzi ten
Do końca, kto z małżonką swoje złączył dni;
Nie rychło też odpędzi od zagrody głód,
Co ciężkim współmieszkańcem, srogim bogiem jest.
Gdy właśnie się weselić w domu swoim mąż
Zapragnie, druha gwoli lub na boga cześć,
Wnet ta zaczepkę znajdzie i rozpocznie bój.
Stąd, gdzie jest żona, druha, co przybywa w dom,
Nie tak ochoczo przyjmą i ugoszczą tam,
A która się wydaje najskromniejszą z nich,
Najbardziej wyuzdaną właśnie bywa ta,
I gdy się mąż zagapi... A sąsiedzi wkrąg
Radują się, gdy widzą, w jakim błędzie on,
I każdy z nas wychwalać własną żonę zwykł,
Przyganiać cudzej, o tem zasię nie wie nikt,
Że wszyscy jednakowy tu dźwigamy los.
Sam bowiem Zeus uczynił je najgorszem złem
I pęta z nich narzucił niestargalne nam,
Odkiedy Hades wchłonął i witezi, co
Krew o kobietę w bojach przelewali swą,
I (tych, co śmierć znaleźli pod murami Teb)[1])

frg. 12.

Nie tak się chyba boi pośród górskich kniej
Pantery lub srogiego lwa samotny mąż,
Gdy na ścieżynie wąskiej nagle spotka go,
(Jak się obawia gniewu on małżonki złej[2]).

[1]) Uzupełniłem na podstawie służącego za źródło jambografowi ustępu Hezjoda (Prace, Dnie, w. 161 n. n.).

[2])Uzupełniłem na podstawie naśladującego jambografa w komedji „Lizystrata“ (w. 1014—1015) Arystofanesa.

---

szy „kilkunastu tęgich drabów w białych dziwnych kitlach na peronie, żaden się nie rusza, stoją jak żołnierze“, — po raz pierwszy w życiu przeszedł rosyjską rewizję celną. A potem w Warszawie, w dniu 27 kwietnia, „na placu Trzech Krzyży ujrzał przed nosem knut kozaka rozpędzającego publiczność cicho demonstrującą“. W towarzystwie kolegów chodzi przez dni kilkanaście „po Warszawie, po mieście bez muzców, po mieście będącem samo w sobie pamiątką, gdzie pamiątkowym zdawał mi się każdy kamień bruków“. Potem trzy lata studjów w Krakowie, choć mu nauka krakowska nie imponowała.

„Pociągało mnie miasto, ludzie, towarzystwo, okolica, życie, teatr, koledzy, pensjonat, w którym się stołowałem, wycieczki ze słuchaczkami kursów Baranieckiego, rozmowy z Rydlem w kawiarni Sauera, a także i ciekawe, patetyczne wykłady hr. Tarnowskiego o Konradzie Wallenrodzie, najbardziej zaś może gościnny dom prof. Marjana Zdziechowskiego“, Kraków Wyspiańskiego, Kraków „Wesela“, „Wyzwolenia“ i „Warszawianki“, Wysockiej, Solskiego, Kraków Sichulskiego „Liberum veto“, Herbaczewskiego „Roty“, Zygmunta, Lajkonika, zegarowych dźwięków nocnych, słuchanych na plantach, na których widziałem wplecione nasturcje z kościoła franciszkańskiego“.

To wszystko, choć minęło lat 20 i kilka,

„żyje we mnie jak odbicie w lustrze, widzialne w każdej chwili, — gdy zechcę odkryć zasłonę, widzę i groby królewskie, i Wolę Jostowską, i skałę Kmity, i Skały Panieńskie, i olbrzymie krzaki bzu w Tenczynku — i wcale mnie nie obchodzi, czy one w tym roku zakwitną — bo kwitnące są zawsze w tem mojem zwierciadle“. I coś jeszcze. „Ów świerk, ów prastary świerk, pod którym rozmawialiśmy podczas cichego kapuśniaczka sączącego się po igłach świerków, ja: zakochany; ty: obojętnie“.

Po ukończeniu studjów chce pozostać w Polsce, wszystko jedno gdzie. Prezes komisji egzaminacyjnej perswaduje mu, że to nie ma sensu, — konkurencja kandydatów itd. — „najlepiej niech pan wróci do swoich“. Wraca zatem prof. Beneszić do Chorwacji, otrzymuje posadę w gimnazjum, potem w akademji handlowej, lecz nie pociąga go — mieszczańska „Lebensfreude“. Jest literatem, poetą, tłómaczy kilka dramatów polskich, — zostaje później naczelnym dyrektorem teatru państwowego w Zagrzebiu, przyczem „w tem sześcioletniem życiu teatralnem było sześćdziesiąt lat trosk, utrapień i walk na kilka frontów równocześnie“.

Tęsknota za Polską odżywa w sercu poety znów z całą potęgą. „Co jest tak piękne nad Wisłą, że warto wyrzec się przyjemności rozmów z matką, która nie rozumie, co to jest tęsknota, ale mówi głosem spokojnym. Ty synu, najlepiej wiesz, co ci dogadza i co cię pociąga, jedź, gdzie chcesz“. — „Dobrze. Polska istnieje, Jugosławja istnieje. Może uda się coś zrobić. Świerk prawdopodobnie już ścięty, burzą zwalony, bzy już nie kwitną w Tenczynku, ale jest naród moich kolegów, moich poetów, jest państwo na mapie Europy, można coś zrobić i dla nas. T. T. Jeż i Bronisław Grabowski, Zdziechowski i Tadeusz Stanisław Grabowski i kilka jeszcze szlachetnych nazwisk. Pojadę do Polski“.

Są chwile, gdy prof. Beneszić pragnie sobie wyperswadować swą miłość do naszego kaju. Tylko jeszcze „ostatnia podróż do Polski, bo już tam niema tych dekoracyj sentymentalnych, tych świerków, czy glicynij czy tam bzów i podobnych głupstw. Rzeczowo patrzmy na świat i wyleczmy się z mrzonek“. Jedzie więc, aby zaznać w Polsce rozczarowań, nieprzyjemności ,niegrzeczności, żeby „móc mieć czyste sumienie, gdy powie: już nie będę nudził różnych ministrów, aby mnie delegowali do Polski“. Lecz podczas kilkotygodniowej podróży „nie spotyka ani jednego człowieka, któryby był przynajmniej niegrzeczny, z wyjątkiem jednego jedynego kelnera w Lublinie“. Więc znów „pcha się do Polski“ — i wreszcie, po 7 latach takiego „pchania się“, w marcu 1930 r. przyjeżdża do Warszawy jako delegat jugosłowiańskiego ministerstwa oświaty.

Oto w streszczeniu dzieje miłości jednej duszy słowiańskiej ku Polsce. Streszczenie słabe, nie odzwierciedlające ani w przybliżeniu tej siły uczucia, jakie przemawia do nas z „Dwóch odczytów“. Warto książeczkę przeczytać, aby nauczyć się więcej cenić i kochać naszą własną kulturę.

Chodzi mi jednak jeszcze o coś innego. A mianowicie o to, jak za miłość tę Jugosłowianina odpłaca się Polska. Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że rozmowa prof. Beneszić'a z Polską, — bo i tak można „Dwa odczyty“ pojmować — pzypomina coś niecoś tę jego rozmowę pod świerkiem, gdzieś kiedyś pod Krakowem, gdy deszcz dyskretnie padał — „ja zakochany, ty, obojętnie“.

Poza sześćdziesięciu i pięciu tłumaczeniami, przez które prof. Beneszić inteligencję jugosłowiańską wprowadził w polski świat ducha, wkłada on u nas olbrzymi wprost wysiłek w pracę nad przybliżeniem Polsce tego, co najpiękniejszego posiada duch jugosłowiański. Jego dziełem jest Bibljoteka Jugosłowiańska, składająca się już z czterech tomów: Ivana Mażuranića „Śmierć Smail Agi Czengića“, poematu na południu tak popularnego, jak u nas „Pan Tadeusz“, — Ivana Cakova „Nowele“, — Petara II Petrovića Njegosza „Górski Wieniec“, jedno z najbardziej charakterystycznych dzieł literatury serbskiej, — i przedewszystkiem najpiękniejszy hołd dla Polski, jaki w „Osmanie“ złożył bard dubrownicki z XVII wieku, największy do wieku XIX poeta południowo - słowiański, Ivan Gundulić.

Zdawałoby się, że płacąc prof. Beneszićowi za jego miłość ku Polsce równą miłością ku Jugosławji z całą jej ciekawą, mimo wybitnie słowiańskich cech tak odrębną, tak charakterystyczną kulturą, — dzieła te znajdą u nas szeroką poczytność, ogólne zainteresowanie wśród naszej rdzennie polskiej inteligencji. Tymczasem — nie mówmy lepiej o tem, jak też i o duchowem naszem nastawieniu wobec Słowiańszczyzny.

„N i s z t a, b r a t e — kończy prof. Beneszić swój drugi odczyt, przypominając słowa, usłyszane z ust pierwszego żołnierza polskiego, spotkanego na granicy wolnej już Polski. Słowa te znaczą według jego autorytatywnego tłumaczenia: daj spokój, bracie, — albo: niema mowy, bracie; albo: przebacz, bracie; albo weszcie to samo, co rosyjskie: niczewo, batiuszka.

Które z tych tłumaczeń mamy wybrać? Wybieramy najchętniej rosyjskie „n i c z e w o“. Bo inne tłumaczenie byłoby stanowczo ze szkodą dla polsko - jugosłowiańskich stosunków kulturalnych, które w nasze życie duchowe wnieść mogą bardzo wiele dobrego, potrzebnego dla odświeżenia i odmłodnienia naszego słowiańskiego ducha.

STANISŁAW CELICHOWSKI

WYPRAWA ZBĄSZYŃSKA

Wspomnienia uczestnika

2

Podczas gdy na innych odcinkach frontu wielkopolskiego w przeważającej części brały udział oddziały, rekrutujące się z bliższych i dalszych okolic danego odcinka, których żołnierze bądź to kwaterowali w domu, bądź to po każdej większej akcji odchodzili do swych wiosek na odpoczynek, oddziały pod Zbąszyniem znalazły się zdaleka od swoich pieleszy domowych, co przyczyniło się do ich wielkiego zbliżenia i wzajemnego poznania. Pozatem tak jak wyprawa zbąszyńska miała swój ściśle określony cel, była ona dla jej uczestników czemś wyodrębnionem od reszty wypadków. Podczas bowiem, gdy na innych odcinkach formacje przeważnie stykały się z innemi, to pod Zbąszyniem oddziały odcięte były prawie od reszty świata. Głównym ośrodkiem oddziałów była Łomnica, wielka wieś — majętność i gmina — otoczona ze wszech stron lasami o obszarze ca. 20.000 mórg, wśród okolicy prawie czysto niemieckiej, przeważnie wrogo usposobionej i biorącej nawet aktywny udział w walkach przeciwko nam. Nowy Dwór, broniony przez kompanję jarocińską, później opalenicką, był tylko wysuniętą pozycją pod Zbąszyń Łomnicy. Połączenie z resztą kraju utrzymywał tor kolejowy do stacji Krośnica, którym dochodził nas dowóz żywności ze świetnie funkcjonującej intendantury frontu zachodniego w Buku. Pozatem utrzymywanem z trudem przez oddział łączności połączeniem telefonicznem nadchodziły tylko krótkie rozkazy i jeszcze skąpsze wiadomości. O tem, że walki pod Zbąszyniem nie są odosobnione, wnioskowaliśmy tylko z głuchego grzmotu ciężkich dział z pod Międzychodu. Rekonesanse nasze, piesze i konne, nie napotykały prawie nigdzie innych polskich oddziałów, stwierdzały tylko naokół wrogie morze niemieckie. Pozostający na tyłach naszych Nowy Tomyśl pozostawił z nocy, podczas dojazdu do frontu w nim spędzonej, wrażenie wrogich nastrojów. Nic dziwnego, że w tej sytuacji nastąpiło zbliżenie się serc i umysłów i wytworzyła się ta atmosfera przyjaźni i towarzystwa broni, które tak niezatarte wspomnienia pozostawiły w sercach uczestników.

Nad tem wszystkiem zaś panował jednolity nastrój patrjotyczny, świadomość wspólnego przeżywania chwil wielkich. Żołnierz wielkopolski kształcony na wielkich wzorach historji i poezji narodowej marzył przecież, by wejść w ślady tych, którzy sławę imienia polskiego utrwalili pod Grunwaldem, Kirholmem, Chocimem i Wiedniem. Uczony był przed wojną czcić kosynierów z pod Racławic, legjonów włoskich, żołnierzy z pod Grochowa i innych powstań polskich. Wchłaniał w siebie przygody bohaterów Sienkiewiczowskich, a zawsze z myślą, że i on kiedyś wejdzie może do panteonu narodowego. Gigantyczne zmagania wojny światowej narazie kazały żołnierzowi wielkopolskiemu walczyć za obcą sobie sprawę. Lecz tam w rowach pod Verdun i we Flandrji, wśród huraganowego ognia dział i ataku gazowego żołnierz ten śnił, że i dla niego wybije godzina własnego czynu narodowego. I gdy godzina ta wybiła, buchnęło to pragnienie wielkim płomieniem. Minęło znużenie wojny światowej, żołnierz porwał się do czynu, czynu jakiego pragnął w swoich marzeniach, opromienionego chwałą ojców, do czynu ojców podobnego. Taki był nastrój oddziałów pod Zbąszyniem o wielkim patrjotyźmie i uświadomieniu tradycyj narodowych. A nastrój ten był świadomie podtrzymany i rozniecany przez dowódców, tymsamym duchem przejętych, w ich rozkazach i przemówieniach.

To wszystko złożyło się na to, że wyprawa zbąszyńska w jej uczestnikach zostawiła wspomnienie — ponad jej znaczenie strategiczne — przeżytej epopei.

II. Wyjazd na front i pierwsze utarczki.

Po zajęciu Śremu w dniu 31 grudnia 1918 roku, w którem kompanja kórnicka współdziałała z ochotniczemi oddziałami całego powiatu śremskiego, po ogłoszeniu w dniu 1 stycznia 1919 r. na rynku w Kórniku niepodległości i złączenia się z Rzecząpospolitą Polską, weszła kompanja kórnicka, jako IV kompanja w skład bataljonu śremskiego, późniejszego 1 baonu 11 pułku Strzelców Wielkopolskich. Dowództwo nad tym bataljonem objął z rozkazu śremskiej powiatowej Rady Ludowej Stefan Chosłowski.

Dnia 6-go stycznia 1919 r. otrzymał Chosłowski z Dowództwa Głównego rozkaz udania się ze swym bataljonem pod Zbąszyń do dyspozycji dowódcy frontu zachodniego podporucznika Zenktelera. Wobec tego zażądał Chosłowski niezwłocznego przybycia do Śremu kompanji kórnickiej. Zaalarmowane częściowo telefonicznie, częściowo za pomocą gońców, którymi byli przeważnie harcerze, poszczególne oddziały kompanji, rozlokowane w Kórniku, Bninie i okolicznych wioskach, stawiły się w rekordowo krótkim czasie w sali hotelu Ellmanna, siedzibie Rady Żołnierskiej w Kórniku. Tutaj dowódca kompanji odbył ich przegląd i po wyłączeniu sił potrzebnych do utrzymania bezpieczeństwa i spokoju na miejscu, oraz żołnierzy niedostatecznie wyekwipowanych i mniej zdatnych do boju, zorganizował ostatecznie kompanję jako jednostkę bojową. Wyruszyło pod Zbąszyń około 150 chłopa z 3 cieżkiemi i 3 lekkiemi kulomiotami. Zarekwirowano tymczasem według planów już poprzednio przygotowanych od okolicznych ziemian wozy, na których kompanja niezwłocznie udała się do Śremu. Z bataljonu śremskiego gotowe do wymarszu poza kompanją kórnicką były tylko jedna kompanja. Oddział kulomiotów, konnica Unruga i oddział łączności. W tym więc tylko składzie załadowano bataljon na pociąg. W Kościanie dołączono do transportu jedną kompanję baonu jarocińskiego pod dowództwem hr. Gorzeńskiego, który otrzymał taki sam rozkaz udania się pod Zbąszyń.

Nastrój w oddziałach panował podniosły i radosny. Ziściły się przecież najśmielsze marzenia i oto jechaliśmy jako regularne wojsko *polskie* w bój o wielkość państwa polskiego. Po drodze też nastąpiło pierwsze zbratanie się oddziałów i ich dowódców i zawiązanie tych więzów przyjaźni, które stworzyły z nas jak gdyby wielką rodzinę wojskową i pomogły do przetrwania ciężkich chwil pod Zbąszyniem.

Nieszczęściem baonu śremskiego było, że ilekroć wysyłany był na ratunek jakiego odcinka, tylekroć działo się to o 24 godzin zapóźno, a przytem baon przychodził na front bez poinformowania go o sytuacji na nim. Tak było pod Rawiczem, tak też było przy wyprawie na Zbąszyń.

Gdyśmy 6 stycznia wieczorem zajęli kwatery w Nowym Tomyślu, nie wiedzieliśmy o tem, że równocześnie toczy się zacięty bój o dworzec zbąszyński, nie wiedzieliśmy też o tem, jak niewiele brakowało, by dworzec ten został przez lokalne oddziały powstańcze opanowany. To też, gdy w nocy z 6 na 7 stycznia Klemczak samowolnie zaalarmował przez trębaczy oddziały nasze w Nowym Tomyślu, chcąc spowodować niezwłoczny atak naszego baonu na Zbąszyń, kazał ich dowódca bataljonu, mając rozkaz pozostawania na razie w Nowym Tomyślu, zaaresztować, uważając to za niepotrzebne niepokojenie baonu. Znając zaś Chosłowskiego nie wątpię, że gdyby był poinformowany o sytuacji w Zbąszyniu, byłby odrazu cały baon rzucił do walki, a wówczas niewątpliwie losy dworca zbąszyńskiego byłyby przesądzone.

Tymczasem, gdyśmy 7 stycznia na mocy rozkazu ppor. Zenktelera stanęli w Łomnicy, pierwsza akcja polska pod Zbąszyniem była zlikwidowana i trzeba było wszystko od podstaw przygotowywać. Zdając sobie sprawę, że celem naszej wyprawy było zdobycie Zbąszynia, dowództwo nasze od samego początku rozpoczęło wszystkie do tego potrzebne przygotowania.

Należało się zapoznać z wartością bojową oddziałów, należało w oddziałach ugruntować dyscyplinę wojskową, zaprawić je do akcji bojowej i zapoznać z terenem. Temu celowi służyły liczne rekonesanse i wypady. Niestety akcja ta rozpoczęła się pod złą gwiazdą.

Wprawdzie świetnie wywiązała się nasza młoda konnica, której rajd z Nowego Tomyśla na Miedzichowo (Kupferhammer) i Sępólno do Łomnicy dnia 7 stycznia dał pożądane rezultaty, stwierdzając silną załogę niemiecką w Miedzichowie, wykazując przytem wielkie wartości tego oddziałku dla wywiadu. Natomiast wyprawa jednego plutonu kompanji śremskiej do niemieckiej wsi Przychodzka (Deutschhöhe) w dniu 8. I. skończyła się ciężką porażką plutonu, który dostał się w zasadzkę i został kompletnie rozbity, tracąc 2 zabitych.

Szczęśliwiej udał się wypad w kierunku Strzyżewa specjalnie w tym celu z wytrawnych żołnierzy zestawionego oddziału szturmowego kompanji kórnickiej w sile 28 ludzi. Oddział ten, poszedłszy pod Strzyżewo zmusił Niemców do rozwinięcia swych sił, stoczył z niemi zaciętą walkę i stwierdziwszy, że Strzyżewo posiada silną załogę niemiecką, zaopatrzoną w kulomioty, szczęśliwie się wycofał bez strat, podczas gdy Niemcy, jak stwierdzono, mieli w każdym razie 1 zabitego. Akcja ta osiągnęła także i inny zamierzony cel, cel psychologiczny. Obfitując w szereg pięknych epizodów, które wykazały bohaterską odwagę poszczególnych jednostek i stały się tematem do gawęd żołnierskich, podniosła o jeszcze jeden ton nastrój bojowy kompanji i wzmocniła zaufanie żołnierzy do siebie i do dowódców. Natomiast niefortunna wyprawa kompanji śremskiej wywołała w niej wielką depresję, a co gorsza, zachwiała zaufanie do niej dowództwa. Dla zlikwidowania tych nastrojów ujemnych i przyciszenia buty kolonistów dowódca baonu zarządził na następny dzień akcję całego baonu.

Kompanja kórnicka otrzymała za zadanie zburzenie toru i połączenia telefonicznego między Zbąszyniem i Trzcielem, by uniemożliwić współdziałanie tych dwóch głównych ośrodków frontu niemieckiego a przedewszystkiem pociągu pancernego, podczas gdy kompanja śremska, osłaniając od Trzciela kompanję kórnicką, urządziła równocześnie wyprawę karną do Deutschhöhe. Akcja osiągnęła w zupełności zamierzone cele. Jeszcze mi dzisiaj stoi w pamięci ten cudowny zimowy dzień, gdy w blaskach zimowego słońca bataljon rozwinął się przez lasy ku zamierzonemu celowi, demonstrując swą siłę i sprawność wojskową. Obydwie kompanje spełniły swe zadania. Kompanja śremska w szczególności sprowadziła ciała swych poległych oraz licznych jeńców i zakładników podejrzanych o udział w napadzie. Gdy bataljon w podniosłym nastroju wracał do Łomnicy, zmora klęski dnia poprzedniego była rozwiana.

Wśród dalszej żywej akcji wywiadowczej przyszedł tymczasem rozkaz ataku na Zbąszyń, wyznaczony na dzień 11 stycznia o godz. 6-tej rano.

III. Atak na Zbąszyń dn. 11. I. 1919 r.

Na odprawie w Łomnicy w dniu 9. I. 1919 r. przedstawił nam dowódca odcinka zachodniego ogólny plan bitwy. Rozporządzał, jak twierdził, łącznie z naszym oddziałem, 1500 ludźmi, a uważał siłę tę za wystarczającą nietylko do zdobycia Zbąszynia, ale do otoczenia i zniszczenia nieprzyjaciela. Podstawą planu miał być niespodziewany atak kompanji kórnickiej od północy, tj. z boku pozycji nieprzyjacielskiej, a sekundować miał mu frontowy atak od wschodu kompanji jarocińskiej przez most kolejowy na dworzec. Ta ostatnia pozycja wprawdzie była przez Niemców bardzo silnie umocniona, lecz dowództwo zupełnie słusznie liczyło na to, że jeżeli Niemcy zostaną równocześnie zaatakowani ze wszystkich stron, wywoła to na froncie popłoch, przy którego wykorzystaniu kompanja jarocińska przypuszczalnie nie natrafiłaby na zbyt silny opór. Równocześnie bowiem część oddziałów, ściągniętych z Grodziska i Wolsztyna, miała od południa zaatakować miasto Zbąszyń, podczas gdy reszta miała obejść jezioro Zbąszyńskie, przeciąć odwrotową linję niemiecką i zaatakować tyły nieprzyjaciela od zachodu. O 6-ej rano miały poszczególne oddziały być na swoich pozycjach szturmowych, od 6—6½ artylerja nasza zasypać dworzec granatami a o 6½ miały wszystkie oddziały równocześnie ruszyć do szturmu.

Plan ten, gdyby został precyzyjnie wykonany, mógł nam dać świetne zwycięstwo, miał jednak dwie zasadnicze wady, które zgóry przesądzały jego powodzenie.

Był on najpierw tak skomplikowany, że mógł być tylko przeprowadzony przez oddziały pierwszorzędnie wyszkolone i zdyscyplinowane i dobrze obznajmione z terenem walki, tembardziej, że marsze oddziałów miały być wykonane w nocy, częściowo przez lasy. Nie mógł się on udać z oddziałami powstańczemi, codopiero naprędce skleconemi, z dowódcami niedostatecznie do takiej operacji przygotowanymi, a przedewszystkiem nieobeznanymi dokładnie z terenem i niemającymi przeważnie map. Drugą wadą planu bitwy było, że kompanja kórnicka, która miała wykonać główny atak, musiała przejść przedtem przez Strzyżewo, które, jak wykazał wypad kompanji kórnickiej z 8 stycznia, było silnie obsadzone. Zastrzeżenia naszego dowódcy baonu w tym względzie, poparte raportem kompanji kórnickiej, zostały przez dowództwo frontu zlekceważone. Chosłowski wymógł tylko tyle, że przydzielono mu kompanję opalenicką, która po północy miała nagłym napadem zająć Strzyżewo i utorować w ten sposób drogę kompanji kórnickiej. Zdaniem ppor. Zenktelera kompanja ta w sile 250 ludzi pod dowództwem Klemczaka, powinna była w ciągu 1 godziny opanować pogrążone we śnie Strzyżewo, które po zajęciu miała trzymać kompanja śremska.

Mimo tych zastrzeżeń oddziały nasze, w podniosłym nastroju patrjotycznym z wiarą w zwycięstwo, choć ze zrozumieniem czekających nas niewątpliwie ciężkich ofiar, przygotowywały się do bitwy. Wobec tych nastrojów i wykazanej później bitności żołnierza nie wątpię, że gdyby zamiast tak skomplikowanego planu wszystkie siły nasze zgromadzono razem i uderzono całą siłą na linji dworzec zbąszyński—Strzyżewo, Zbąszyń byłby wzięty choć z bardzo wielkiemi ofiarami. Lecz straty te nie byłyby z pewnością większe jak te, które poniosły oddziały w późniejszych walkach. Przecież sama tylko kompanja kórnicka straciła w ciągu tygodnia 13 zabitych i 15 rannych.

W przeddzień bitwy artylerja nasza — 2 działa pod dowództwem Jankowskiego — oddała kilka strzałów celem wstrzelenia się. Patrol kompanji kórnickiej, składający się z wszystkich podoficerów i sekcyjnych w sile 30 ludzi usiłował się zapoznać z terenem bitwy. Niestety panująca przez cały dzień gęsta mgła uniemożliwiła dostateczną orjentację w terenie, lecz i ten patrol stwierdził, że Niemcy w Strzyżewie mieli się na baczności.

Wieczorem, gdy podniecenie przedbitewne zaczęło wszystkich ogarniać, zaskoczyło nas zaproszenie na oficjalną kolację przez właścicielkę majętności Łomnica panią Schoepke. Pani Schoepke bezsprzecznie przychylnie odnosiła się do nas, co nie można było w równej mierze powiedzieć o jej otoczeniu i administracji majętności, która częściowo niewątpliwie była w kontakcie z Niemcami i uprawiała szpiegostwo. Żeby nie wzbudzać podejrzenia, Chosłowski zaproszenie przyjął.

(Ciąg dalszy nastąpi).



KOMPANJA KÓRNICKO - BNIŃSKA
(Łomnica pod Zbąszyniem, styczeń 1919 roku)

SATYRA

GWIDON MIKLASZEWSKI

Moja Pani! Moja Pani!

W tych dniach, moja Pani, byłam na tym nowym filmie polskim, co to w nim i Przeora i Kordeckiego i obronę i nawet Częstochowę za parę groszy pokazują. Film, czyli sztuka, trochę historyczna i bardzo rzewna, a wzięta trochę z jakiegoś Potopu, trochę z jakiegoś... Ogniem czy mieczem, już nie pamiętam czym. W każdym jednym razie rzecz była ze Szwedami z jednej strony, a z drugiej znowu z Polakami.

Poszłam ja do tego kina „Słońce" w niedzielę, żeby się filmowi nabożnie przyjrzeć i, co nie daj Boże, grzesznem okiem na święty obraz częstochowski nie popatrzeć. Bo obraz też był, ale to już potem.

W kinie, moja kochana Pani, ludzi całe hurmy. Znajome ludzie też były, bo to taki film, co każdy jeden szanujący się obywatel zobaczyć powinien, coby spełnił obowiązek patrjotyczny i katolicki też.

Widziałam huk znajomych — ale nie o tem chciałam kochanej Pani napisać. Wystałam się w ogonku dobre pół godzinki, nim z ledwością bilet dostałam. Potem, jak się to mówi, zajęłam miejsce i czekałam, aż się przedstawienie rozpocznie. Ostatni raz byłam w tem kinie na taksamo ślicznym filmie „Pod Twoją Obronę", co to też rzewny i akuratnie jakby dla nas zrobiony był. Na innych filmach nie byłam, bo moje sąsiadki gadały, że na nich tylko strach i obraza boska, a na tych naszych polskich, to przynajmniej człowiek i popłacze troche i pomodlić się może. Okropnie lubię polskie filmy.

Więc siedzę sobie i czekam. Odrazu, moja Pani, światła zaczynają gasnąć i na niebie, czyli na firmamencie, pokazują się oczom ludzkim światełka, znaczy się gwiazdki. Przez to, widzi Pani, jest zaraz taki nastrój pobożny i człowiek zaczyna się czuć prawie jak w niebie.

A już jak te organy zaczęły grać, to mi się trochę nijako na sercu zrobiło, bo i niebo i organy i ten film, moja Pani! A grał na tych organach tak cudnie i ślicznie, że Pani nie ma pojęcia! Słyszałam, jak ludzie naokołutko mówili, że to ten grał, co napisał białe gołebie, ale to już nie wiem.

Film rozpoczął się wkładką.

Potem była książka z napisem „Przeor Kordecki" i w tej książce karty przewracały się same! Jeszcze nigdy czegoś podobnego nie widziałam, dopiero na stare lata pierwszy raz! A w książce tej były wyszczególnione wszystkie osoby, kto przeor, kto Hanna, kto Zosia i kto Walter.

Samego przeora, kochana Pani, to pewnie szukali po nazwisku, bo ma takie kościelne i trochę postne — Adwentowicz. I była też Zielińska, co to dawniej jakoś ją zwali Lili, a teraz odrazu Liljaną. Jużby pewnie, moja Pani, lepiej było, coby ją Lilią nazwali, taka była niewinna i jasna, niezłamana, a tylko ślepiami ciągle przewracać była zdolna. A jeden zakonnik, moja Pani, udawał Waltera!

I teraz treść zewnetrzną Pani opowiem, żeby Pani wiedziała, jak i co. A to było tak:

Na początku była woda. Dużo, dużo wody, że myślałam, że morskiej choroby dostanę. Potem poprzez te wode wylazły jakieś żołnierze czy też inne, i zaczęły iść. Wciąż przez te wode. Niektóre z nich, to miały, z przeproszeniem kochanej Pani, hajdawery na nogach i nic więcej. Ta woda wciąż jeszcze była. Było jej tak dużo, że aż mnie od tego oczy zabolały i potem wydawało mi się, że w tym całym filmie jest tylko woda i nic więcej!

A Szwedy szły. Bo to, widzi kochana Pani, były Szwedy, jakby powiedzieć. Szli do naszej Panienki, do Częstochowy, żeby im, czyli braciszkom, te pare marnych złotych zabrać, co tam mieli. Wszystko co żyje, przed Szwedami ućkło do klasztoru i tamże się pochowało. Nawet krowy, moja Pani! Ta dziewica polska, co ja Hanną przezwali też, i na nią pewnie Szwedy poniektóre apetyt miały, jak to zawsze mężczyzny są, nie?

A w Częstochowie byli tacy, co mówili, że Szwed nie przyjdzie. Ale to tylko tak naumyślnie, bo potem jednak przyszedł i był. Miały Szwedy swojego generała, ale nazwiska nie pamietam, bo jakieś cudzoziemskie i poco mi to! Mówili tam jego nazwisko i on sam też mówił, ale chociaż w drugim rzędzie siedziałam i kark mnie bolał od patrzenia, to nijak nikogo nie mogłam zrozumieć. Tak jakoś niewyraźnie ci ludzie mówili, że strach.

Posłał tedy, moja najukochańsza Pani, Szwed posłów do braciszków, coby się jemu, czyli gienerałowi, święty klasztor poddał. Ale przeor powiedział, że nie i szlus. Gienerał się wonczas rozeźlił i kazał pukać z armatek. I tak się zaczęła wojna, albo bitwa, już teraz nie pamiętam co.

Wojna była ładna. Wciąż tak: — pokazali armatę, potem czerwony ogień, słychać było huk, potem był tym i nakońcu znów armata. A za chwilę tak samo od początku: armata, ogień, huk, dym, armata — i jeszcze raz, i jeszcze raz!! Najładniejsze było, jak taki prawdziwy, czerwony ogień z tych armat leciał!

Od tego ognia były też ranne ludzie, którym Hanna i Zosia szarpały szarpie i udawały Pogotowie Ratunkowe.

A przeor Kordecki, to nic, tylko wciąż chodził i łyskał oczami. Boże mój, jak on to ślicznie robił! I mówił przy tem takie mądre rzeczy, jak ksiądz na ambonie. Mówił bardzo wolno.

Jeden tylko braciszek mówił szybko. To był ten, co odstawiał Waltera! Tenci braciszek namówił też kilku z naszej strony, żeby zrobili sobie wycieczkę na łąkę, gdzie stały domki tych Szwedów. Oni tak zrobili i kilku Szwedzisków jak nic tam posiekli. Na drugi dzień rano zobaczył to szwedzki generał i trzymał się za głowę. Pewnie dlatego, że mu Polacy przy sposobności umiłowanego synka utłukli. Kazał więc ze złością strzelać na klasztor. Wtem, moja Pani, pokazują mu, że cuda się dzieją, bo nad klasztorem widać wyraźnie Najświętszą Panienkę! To było takie śliczne, że aż na płacz zaczęło mi się zbierać i ledwo, ledwo się wstrzymałam. No dobrze. A potem była procesja i trwała tak długo, że zdążyłam całą zdrowaśkę odmówić, a procesja jeszcze szła!

Potem Szwedom przyszły w pomoc trzy nowe kolubryny, ale nie baby, tylko takie, jakby powiedzieć armaty. I wtedy też te Polaki, co były po tamtej stronie się zbuntowały i powiedziały, że mają takiej gospodarki dość i że idą sobie precz. Tak też zrobili.

Tymczasem, moja Pani, między Kmicicem a Hanną zawiązał się wątek miłosny. Kmicic chciał potem iść wysadzić w powietrze owe kolubryny, ale wyprzedził go niejaki Stanisław i ten poszedł to zrobić. Wysadził trzy kolubryny i rozwalił je docna. Sam przytem nieboraczek zginął — i wtedy ukazała mu się Matka Boska i rękoma przyciągała go do siebie! Tu już nie wytrzymałam, kochana Pani, jak nie zaczną mi łzy kapać, tak całą chusteczkę w jeden mig zmoczyłam! Straśznie to było wzruszające i takie nasze polskie rodzime, że aż coś!! Serce się krajało, że tego zagranicą nie mogą zobaczyć, że nie ujrzy cały świat, jaki nasz naród jest pobożny! To było takie śliczne, moja Pani kochana!

Potem tego biedaka śnieg przysypał i Szwedy też zaraz potem sobie poszły. Klasztoru nie dostali i już. A film się skończył.

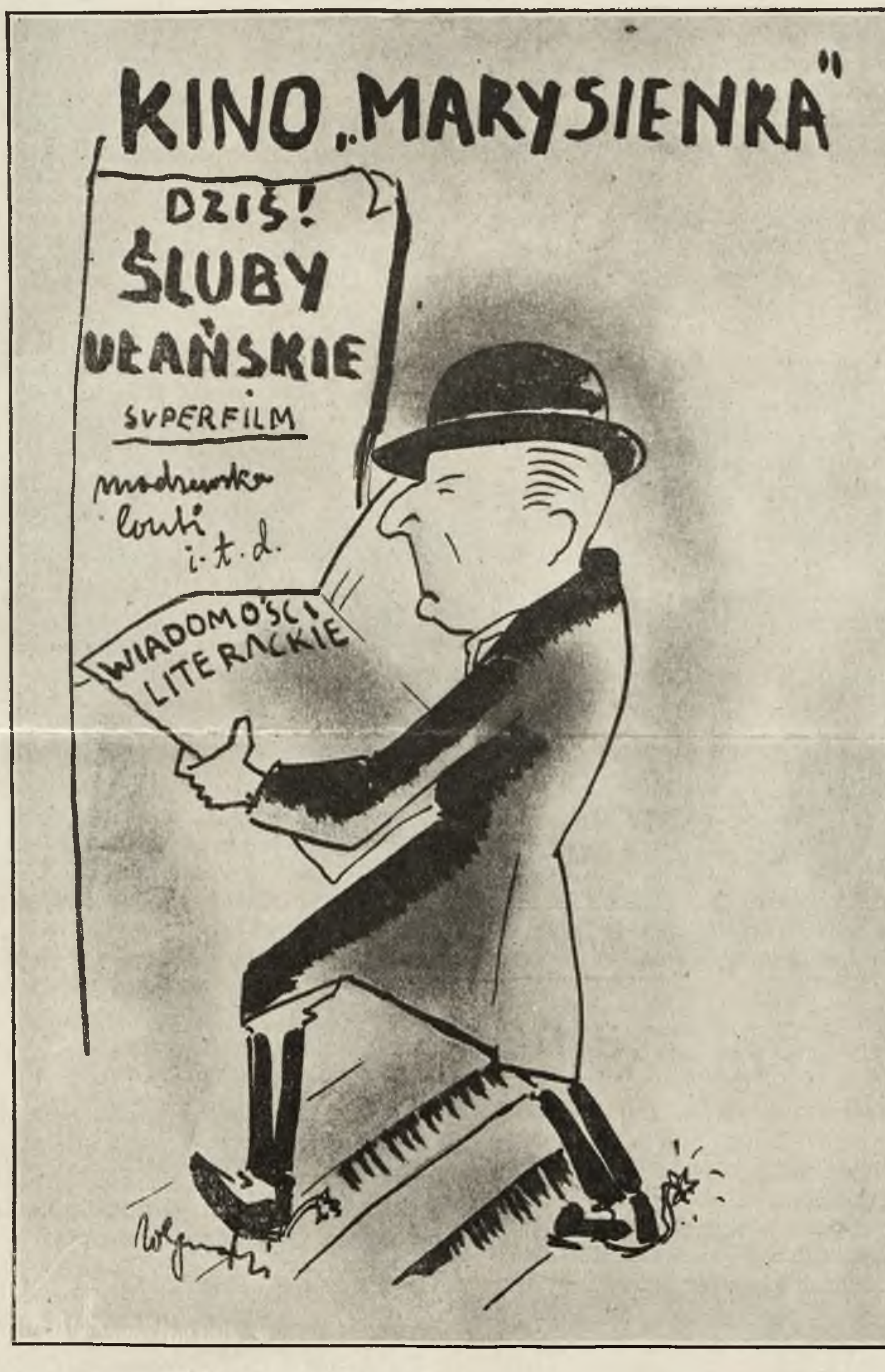
Jak wychodziłam z kina, moja Pani, to słyszałam, jak ktoś mówił, że to, co powiedział ów braciszek, udający Waltera, gdy go jeden poseł szwedzki zdegenerował: *„Boże, daj mi cierpliwość!"* — że to odnosi się do polskich filmów. Nieprwada! Nasze filmy są njalepsze! I zawsze takie powinny być, bo to i do płaczu i do modlitwy i do rozrywki. Ale najwięcej do płaczu!!!

NORBERT SZUMAN

Pudel i foksterjerka

(fraszka)

Raz się zakochał w foksterjerce
Pudel i chciał jej dać swe serce.
— O Pani, rzecze, wiem żem z nacji
Podłej, a Tyś z arystokracji!
Wiem, że się do Cię nie umywam...
Czuję, jak śmiele się odzywam...
Lecz miłość, Pani! — Ach, Ty nie wiesz,
Jak silnem płonie „tu" zarzewiem!
Odkąd ciem ujrzał, na wartości
Straciły dla mnie pchły i kości!
Kicham na mięso i kiełbasę!!
Więc...?!
— Nie! — rzekła.
— Zepsułbyś mi rasę! —



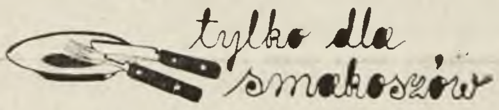
Gen. Wieniawa - Długoszewski: — *rys. Witold Gawęcki.*
„Ciekaw jestem, czy w artykule „Dzień rekruta" Uniłowskiego dopatrzą się mojej współpracy?"

STANISŁAW SOJECKI

Debiut...

Prasa codzienna, liczne snując sądy
O sztuce: „Po tej i po tamtej stronie",
Trąbi, że nowe powstały poglądy,
Że autor myślał o starych form zgonie.

Aby nie było tu żadnych pomyłek,
Autor coprędzej sprostowanie kreśli,
Że mianowicie, tworząc swoje dzieło,
Wbrew ludzkim sądom — właśnie... nic nie myślał...



— *Tak mną pomiatają!* — skarżyła się szczotka electroluxowi.

— *Tyś pewnie z dębu spadł!* — krzyknęła świnia do żołędzia.

— *Widzieliście już takiego tchórza?* — zapytał profesor zoologji studentów, pokazując im wypchanego tchórza.

— *Nie pchaj się do mojego koryta!* — powiedziała Wisła do Wieprza.

— *Wyszedłem stąd jak zmyty* — rzekł pan, wychodząc po kąpieli z łazienki.

— *Jesteś okropnie zacofany!* — wymyślała ryba rakowi.

— *Zbiję cię na kwaśne jabłko* — groził ogrodnik jabłku, którego nie mógł ugryźć.

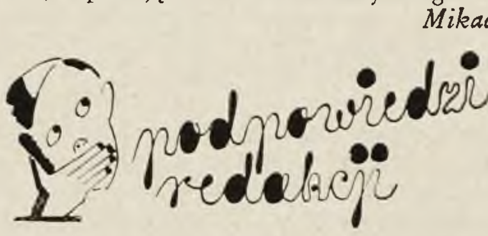
— *Aleś mnie przycisnęła do muru* — skarżyło się wapno kielni.

— *Kocham cię do szaleństwa!* — krzyknął warjat do pielęgniarki.

— *Co ty pleciesz?* — spytałem gaduły, który splatał warkocz.

— *Alem wpadła!* — powiedziała sobie Wisła, wpadając do morza Bałtyckiego.

Mikado.



p. Witold Gawęcki. Rysunki Pańskie odznaczają się niezłą „fakturą" i złem „ujęciem tematu". Z zamieszczonej karykatury widzi Pan sam, jak powinien wyglądać rysunek dobrego karykaturzysty.

p. J. L. Ma Pan rację. Film „Przeor Kordecki" nie nakręcił René Clair, lecz René... Kler! I naprawdę zamało w nim akcji a za dużo Akcji Katolickiej. Ale sam film — owszem, owszem.

p. Sojecki w miejscu. Czy Pan naprawdę nie wie, jak się pisze wiersze? Niech Pan się kogo zapyta. Tylu ludzi w Polsce pisze wiersze i pracuje pozatem w ministerstwach. Taka Iłłakowiczówna dostała za to nagrodę.

p. Szuman, w miejscu. Wiersz p. t. „Pudel i foksterjerka" dobry, chociaż nieco rażący przy dzisiejszych dobrych stosunkach z Niemcami.

p. Gwidon Miklaszewski. Mój Panie! To że Pan nie znosi filmów polskich, to jeszcze Pana nie upoważnia do nazywania siebie satyrykiem! Satyra ma przed sobą wzniosłe cele, a nie walkę z producentami filmowymi! Nie jesteśmy zwolennikami antysemityzmu!

STANISŁAW MICHAŁOWSKI

Kościół Garnizonowy w Poznaniu i jego ostatnie odnowienie

Historja kościoła garnizonowego pod wezw. św. Józefa jest krótka i przedstawia się jak następuje:

Na miejscu, na którem w średniowieczu stała kaplica św. Jerzego, założyli ok. poł. 17 w. Karmelici bosi klasztor i wybudowali kościół. Kto był jego twórcą, jeszcze do niedawna nawet, nie było wiadomo. Dopiero dr. K. Malinowski, badając dokumenty, np. w związku z pracą nad innym z kościołów poznańskich, natknął się w aktach na nazwisko architekta. Jest nim według nich Giorgio Catenaci, Włoch, znany na terenie wielkopolskim w poł. 17 w. architekt, którego dziełem jest też m. in. fasada kościoła św. Małgorzaty na Śródce.

Po zniesieniu przez Niemców klasztoru w r. 1801 zamieniono kościół w r. 1804 na gminę reformatów. Podczas wojen napoleońskich ucierpiał bardzo, służąc kolejno jako lazaret, magazyn, a wreszcie jako stajnie. W latach 1830—31 odnowiono go, naprawiono zniszczenia i zamieniono na kościół ewangelicki garnizonowy. W tych też latach, lub później ok. 1840 sprawiono nowy klasycystyczny ołtarz i ambonę, z dawnego bowiem wystroju, urządzenia jak też zabytków nie pozostało nic, prócz jednego nagrobka z r. 1668 dla Alberta Konarzewskego. Wybudowano też wtedy empory nad nawami bocznemi, które zmieniły zasadniczy wygląd architektoniczny kościoła. Wreszcie w r. 1865 dodano na fasadzie głównej nadbudówkę, mającą służyć dla pomieszczenia dzwonu.

Tak kościół wyglądał aż do czasu ostatniego odnowienia, które przywróciło mu dawną postać. Dziś przedstawia się jako trzynawowa bazylika, z transeptem, niewychodzącym poza linję ścian naw bocznych, z prezbiterjum, zamkniętem prostokątnie. Sklepienie jest beczkowe z płaską kopułą, niewystającą konstrukcyjnie nazewnątrz ponad dach, nad skrzyżowaniem naw. Po obu stronach prezbiterjum znajdują się zakrystja i kaplica, nakryte krzyżowem sklepieniem. Wnętrze nie posiada w swej konstrukcji żadnych linij krzywych i działa na widza jedynie swą czystością form, prostotą i monumentalnością ściśle architektonicznych elementów. Fasada jest wzniesiona w trzech, kolejno zwężających się kondygnacjach, z silnie podkreślającymi jej planowość pilastrami, ciągnącemi się przez całą jej wysokość. Taki jest więc dzisiejszy wygląd kościoła, ale wcale się tak nie przedstawiał, gdy przed trzema laty, z inicjatywy ks. prałata Wilkansa, proboszcza kościoła garnizonowego, zamierzono przystąpić do jego odnowienia. Empory, zakrywające rozmaite części dawnej architektury, ołtarz główny, rozpierający ścianę prezbiterjum i za szeroki, ambona na nie swojem miejscu i za wysoko umieszczona, wszystko zakrywało i zmieniało dawny charakter barokowego wnętrza.

Pierwotnie miano zamiar tylko usunąć stary ołtarz i postawić nowy w stylu barokowym, oraz przeprowadzić remont i wymalowanie kościoła, lecz po rozpatrzeniu całej sprawy wraz z historykami sztuki postanowiono pójść za radą i rozwiązaniem, podanem przez ks. prof. dr. Dettloffa i konserwatora dr. Dalbora i przywrócić kościołowi dawną jego wewnętrzną szatę architektoniczną i stworzyć nowy wystrój kościoła w stylu nowoczesnym.

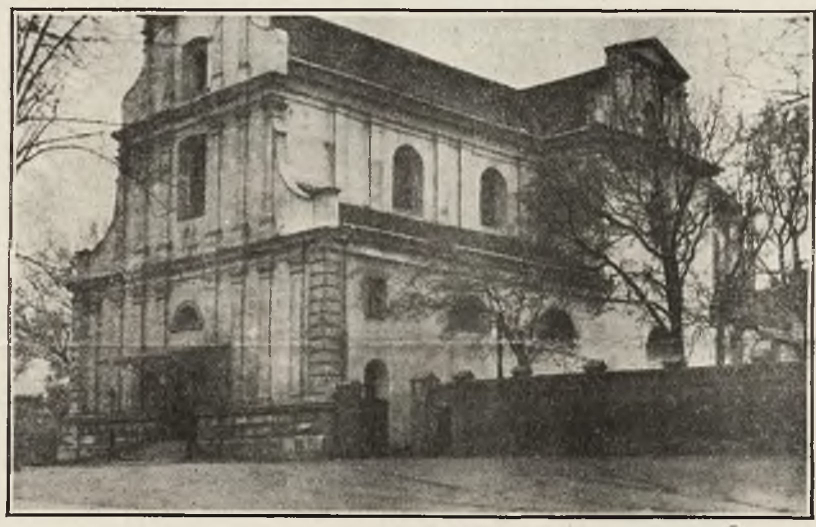
Po uzyskaniu funduszów od władz wojskowych, które z prawdziwem zrozumieniem ustosunkowały się do rozpoczynanego dzieła, przystąpiono do pracy. Z dużym nakładem starania i ostrożności architekta M. Andrzejewskiego, który posiadał nadzór i kierownictwo techniczne oraz prowadził roboty, zniesiono empory w nawach bocznych, usunięto części, zakrywające dawną architekturę w transepcie, odkryto i oczyszczono miejsce dawnej ambony, przy trzeciem, północnym filarze, usunięto nieodpowiedni ołtarz i ambonę. Wreszcie po gruntownem oczyszczeniu i otynkowaniu admalowano wnętrze według zasad nowoczesnej renowacji, t. zn. jednolicie, w spokojnym tonie z delikatnem podkreśleniem niektórych części architektonicznych (np. pilastrów).

Dopiero teraz, po skończeniu prac, uwidoczniło się całe piękno wspaniałej i bogatej architektury barokowej. Tak długo zakrywana mogła zajaśnieć nareszcie w całym swym blasku. Niezwykła czystość form i linji w połączeniu z szerokiemi płaszczyznami stwarza wspaniałą harmonję i daje obraz skończonej doskonałości architektonicznej. Wnętrze bez żadnych ozdób plastycznych i sztukaterji, jest pomyślane tylko architektonicznie i tylko architekturą działa na widza. Kościół po odrestaurowaniu stanowi jeden z najcenniejszych zabytków architektury barokowej w Poznaniu.

Z zamierzonego wystroju kościoła, na który składać się będą: ołtarz główny, stale po obu stronach prezbiterjum, dwa ołtarze boczne na tylnych ścianach nawy poprzecznej, ambona i ławki, wszystko pomyślane w jednolitym stylu i jako jedna nierozerwalna całość, wykonano już ołtarz główny i ambonę. Nie wiele można o nich powiedzieć, trzeba poczekać aż do wykończenia reszty, z którą są niepodzielnie złączone, ale już teraz należy uznać pewną oryginalność i dobre zastosowanie nowych form. W każdym razie nowoczesne ujęcie całości jest najlepszem z możliwych rozwiązań.

Odnowienie kościoła garnizonowego jest faktem cennym dla historji sztuki polskiej i zarazem nowym sukcesem na polu konserwatorstwa w Poznaniu. Jest dowodem zrozumienia i należytego oceniania zagadnień i interesów sztuki na naszym terenie przez społeczeństwo, a zwłaszcza sfery wojskowe, które się szczególnie przyczyniły do przywrócenia pięknemu zabytkowi jego dawnego wyglądu. Kościół garnizonowy w Poznaniu może być przykładem, jak należy odnawiać i konserwować zabytki, bez żadnego uszczerbku dla historji sztuki.





Wnętrze z widokiem na ołtarz (na prawo)

Widok ogólny (zdjęcie dolne).

Piękne wydawnictwo regjonalne

W ostatnich tygodniach ukazała się w nakładzie bibljofilskim piękna teka grafiki, młodego i zdolnego artysty, Czesława Borowczyka, p. t. „Grodzisk w Grafice. Jest to pierwsze wydawnictwo artystyczne z widokami architektonicznemi tego starego miasta wielkopolskiego. Całość teki składa się z sześciu plansz, wykonanych w technice litograficznej, drzeworytniczej i miedziorycie. Autor jest uczniem poznańskiej Szkoły Sztuk Zdobniczych, a kształcił się w klasie znakomitego grafika prof. Jana Wronieckiego.

Piękną całość wydawnictwa poprzedził słowem, znany i ceniony historyk sztuki i poszukiwacz zapomnianych i nieznanych zabytków Wielkopolski, redaktor Hilary Majkowski. Wstęp ten drukujemy poniżej „in extenso“.

Redakcja.

Zwrócił się do mnie młody grafik, grodziszczanin, p. Czesław Borowczyk, z prośbą, poprzedzenia jego teki przedsłowiem. Czynię to z całą przyjemnością, bowiem i ja tego miasteczka jestem rodakiem i otaczam je równą miłością synowską, która kierowała ołówkiem autora załączonych plansz przy utrwalaniu grodziskich widoków.

Grodzisk Wielkopolski, siedlisko rodzinne Ostrorogów i Opaleńskich, sięga założeniem wieku X czy nawet X-go. Położone na trakcie, wiodącym ku Brandenburgji, przechodziło miasto to dziwne i zmienne losów koleje.

Najpierw tedy — jeszcze osadą będąc — należał Grodzisk do książąt śląskich głogowskiego i żegańskiego (1312 roku).

W wieku XIV walczy w hufcach zbrojnych Maćka Borkowicza Joseph de Grodyscze, płatający z inną bracią szlachty wielkopolskiej łby starostom królewskim, grabieżcom i hultajom, napadającym wielmoży i ludność.

W okresie smutnej pamięci walk domowych pomiędzy Nałęczami a Grzymalitami, w marcu 1383 r., dwóch braci z Plaszkowa pod Ostrorogiem wspólnie z załogą zbąszyńską zrabowali miasto i jego okolicę. W bitwie między mieszczanami a załogą, ta ostatnia „więcej niż stosześćdziesiąt grodziszczanów ubiwszy, większą liczbę poraniła śmiertelnie i pojmała w niewolę“, jak notuje współczesny dziejopis.

Poraz wtóry plądruje miasto w wieku XIV Albert Hektor Ostroróg, wojewoda kujawski, sędzia zamku Pakości.

Całe dwa wieki następne należy Grodzisk do Ostrorogów. W kolejności do Stanisława, wojewody kaliskiego († 1477), Jana, wojewody poznańskiego, słynnego pisarza i mówcy († 1501), Stanisława, starosty międzyrzeckiego, założyciela słynnej na całą Wielkopolskę szkoły dentystów, kierowanej przez pastora Erazma Glicznera, wreszcie do Jana Podczaszego koronnego (XVI wiek).

W tej epoce chroni się w Grodzisku „xiąg drukarz“ Melchjor Nering (1579—1581), ścigany klątwą biskupa Łukasza Kościeleckiego. Z pod prasy grodziskiej wychodzą w świat jego liczne dzieła, dziś białe kruki.

Tu mnich lubińskiego klasztoru, O. Bernard z Wąbrzeźna, zasłynął cudami, mieszczan zaiste miłujący.

W klasztorze Bernardynów rozlegał się głos złotoustej retoryki sławnego krasomówcy i kaznodziei Stanisława Grodzickiego.

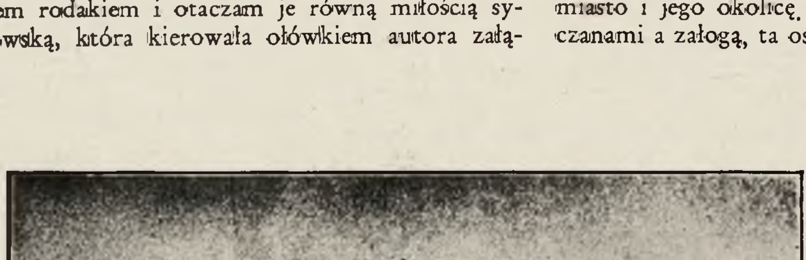
Z początkiem XVII stulecia przechodzi miasto pod władanie możnego rodu Opaleńskich. Ostatni z rodu, Wojciech, wojewoda sieradzki († 1775), pogrzebany też jest u Bernardynów. „Ultimus de linea Illst.“, jak głosi skromny marmurowy epitaf.

Nie wiele wiemy z czasów panowania pruskiego. To tylko, że w pamiętnym i smutnym dla narodu polskiego roku 1848 rozegrały się w mieście krwawe walki. Zgromadzonych powstańców - grodziszczan zaatakowała kolumna wojsk pruskich pod wodzą pułkownika Heistera. Około dwudziestu legło na polu Chwały. Mówią nam o tem zachowane po teraźniejszość dokumenty, starte patyną czasu raporty o wypadkach miejscowych. Tyle w krótkiem przedsłowiu z ważniejszych dat w historji miasta.

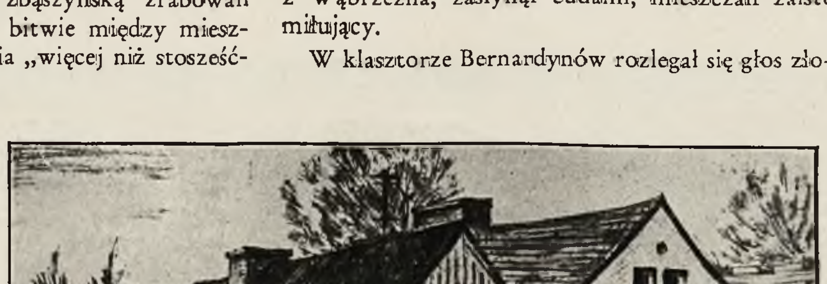
— — — — — —

Powiedział kiedyś Staszic: „niegodzien syn dziedzictwa, który się o krzywdy matki nie upomni“. Krzywdę taką wyrządzono miastu przez zupełne przemilczenie jego historji i kulturalnej przeszłości, mającej do odnowienia niejeden szczegół ważny i ciekawy w życiu umysłowem ziem zachodniej Polski. N. p. w wydanej nie tak dawno „Geografji talentów wielkopolskich“ Szyperskiego, pominął autor zupełnie region grodziski. Te braki rehabilituje obecnie luźnemi szkicami o Grodzisku w prasie naukowej i perjodycznej kilku autorów, że wymienię tylko ks. kanonika Edmunda Majkowskiego, Władysława Stachowskiego i d-ra Grota. Autor niniejszych słów zamieścił był również szereg przyczynków do dziejów kulturalnej przeszłości miasta w prasie poznańskiej, oraz ma w rękopisie większą o Grodzisku pracę pt. „Miasto moich Rodziców“, owoc paruletnich studjów i poszukiwań. Dzięki ofiarności, kochającego przeszłość obywatela grodziskiego, p. dyr. Antoniego Thuma, druk książki tej jest rzeczą najbliższych miesięcy.

Niech więc teka grafik grodziskich Czesława Borowczyka spotka się z zrozumieniem tych, którzy, pracując na najdalej wysuniętych granicach zachodnich Rzeczypospolitej, bronią temsamem nieskazitelności kultury Narodowej.



Czesław Borowczyk: Przy ulicy Żydowskiej



Czesław Borowczyk: Dom z podcieniami przy Starym Rynku

Szukamy nowych talentów



J. Klimek: Ratusz w Poznaniu

Jednym z warunków rozwoju sztuki jest ciągła żywotność, zasilana nowemi źródłami, ciągłe wyszukiwanie nowych możliwości. Nie można kultywować stale tych samych wierzeń ani popierać bez przerwy te same, wygasłe kierunki. Podstawą aktualności i wielkości jest ciągła zmiana. Dlatego stawanie w miejscu i zastój jest cofaniem się. Aby iść naprzód trzeba zawsze stwarzać nowe pola i warunki do pracy twórczej, dawać jaknajwięcej podniet artystycznych, w y s z u k i w a ć m ł o d e t a l e n t y i dawać im możność kształcenia się i pracy.

Dlatego każde zjawienie się nowego talentu należy zawsze witać z zainteresowaniem i zanotować na niwie życia artystycznego jako fakt ważny. Nie wystarcza jednak tylko śledzić z ciekawością rozwój takiego talentu, ale trzeba go przedewszystkiem usilnie popierać.

Pragniemy przedstawić czytelnikom taki talent w osobie młodego, piętnastoletniego chłopaka, Jordana Klimka, który od roku dopiero zaczął rysować i to do czego doszedł własną zdobył pracą, nie kształcąc się nigdzie.

Z zamieszczonego rysunku mogą czytelnicy sami ocenić wartość i wielkość talentu. My ze swej strony musimy stwierdzić, że jest on rzeczywisty i zapowiadający duże możliwości. Dojście do takiego opanowania rysunku i techniki, podchwytywania nastroju i efektu świadczy jedynie o wielkich zdolnościach i wróży powodzenie na przyszłość. J. Klimek ma przed sobą duże pole do rozwoju, a uwidaczniające się błędy wynikają z braku doświadczenia i znikną w miarę postępu i wykształcenia.

P. Mich.

Z WYSTAWY L. LANŻANKI W „IKS"-ie



Ludmiła Lanżanka Stara uliczka w Toruniu

Z KRAKOWSKIEGO PAŁACU SZTUKI

Wystawa Kazimierza Sichulskiego

W Polsce literatura stała się udziałem mas, a plastyka ciągle jeszcze jest czemś niedostępnem, niepojętem, hieratycznem. Programy i spory plastyków, recenzje z wystaw są czemś tak niesłychanie specjalnem i bałamutnem, że laik nie jest zdolny pojąć ich, nie ulega im i oczywiście nie ciekaw jest rzeczy, na których poznać się nie może, a jeśli idzie na wystawę, jest onieśmielony lub ośmieszony, zazwyczaj zupełnie bezpodstawnie przez pierwszych lepszych snobów. Krytyka t. zw. artystyczna oddaje fatalną usługę sztuce: odcina sztukę od publiczności. Mam przed oczyma recenzję z wystawy Sichulskiego z jednego z dzienników krakowskich. „Forma przedmiotowa rozluźniona", „dywizjonistyczne rozproszkowanie", „dźwięczne akordy szerokich płaszczyzn" — może to i znawstwo, ale iluż to ludzi pojmie? Czy „szary" czytelnik rozpali się do wystawy, na której może podziwiać „dywizjonistyczne rozproszkowanie"

Chciałbym rzucić kilka uwag laika o wystawie Sichulskiego. Okres Młodej Polski i rozwoju T-wa „Sztuka" w Krakowie, to złoty okres malarstwa polskiego. Uczniem i współtwórcą szkół tych był także Sichulski, dzięki wielkiemu talentowi rychło przyjęty na Parnas sztuki polskiej i europejskiej. Twórczość jego stoi pod wpływem koryfeuszy tej epoki, tj. Wyspiańskiego, Mehoffera i Matejki. Łączy go z nimi cała skala cech: dekoracyjność, umiłowanie motywów ludowych, monumentalność, tematyka historyczna i folklorystyczna, wreszcie technika (linja falista). Sichulski zwycięża widza monumentalnością pomysłów i kompozycyj, głębokim, czystym i nieskomplikowanym artyzmem, doskonałością rysunku i siłą wizyj. Całość twórczości cechuje zrównoważenie, powaga, siła i radość życia. Pełnemi wdzięku są kompozycje impresjonistyczne, siła jest tonem przewodnim obrazów historycznych, stylizowanych pod wpływem huculskim i bogatych treścią, a nawet symbolem (Bolesław Chrobry u bram Kijowa, św. Jerzy walczący ze smokiem), piętno prawdziwego uroku mają malowidła witrażowe (przypominające żywo jużto Wyspiańskiego, jużto Mehoffera), karykatury są wyrazem opanowanego i subtelnego artyzmu.

Wrażenie głębokie wywierają szkice cyklu nieszczęść ziemi — symboliczne obrazy tragedji ludzkości z koroną Chrystusa na krzyżu, wyraźnie zależne od dwu wielkich mistrzów: Grottgera Lituanji, a nadewszystko od rysunków do Iljady i Żywiołów Wyspiańskiego. Przepięknem dziełem, syntezą mocy, czaru i wdzięku, jasności i miłości talentu Sichulskiego jest wspaniały obraz „Życie".

W całej wielkiej i klasycznej twórczości Sichulskiego dominuje statyzm, cechujący skłonność do monumentalności. *J. Biel.*

MICHAŁ SOCHA

Nastroje małomiejskie

Jesienne małomiejskie popołudnie
Osnute pajęczyną przedwczesnego zmroku,
Dzwon kościelny ozwał się marudnie —
Tak woła na nieszpory w każde święto roku.

Nad miasto chmury nadlatują szmerem
I bębnią w okna deszczu kropel gradem;
Nad dachami rynny zagadały chórem,
Wrony drzewa obsiadły osowiałem stadem.

Latarnia zaspane otworzyła oko
I z za rzęs orosiałych spojrzała w ulicę —
Wiatr w liście zadzwonił w gałęziach, wysoko
I niedomkniętą z trzaskiem rozwarł okiennicę. —

A w przezroczystą toń duszy
Smętek zapadł kroplą — siny
I rozpostarł się w koronkę
Mętnej zawieruchy. —

GUSTAW SUSKI

Śleboda

Haw mi na piersi połozys głowicke
moja ślebodo —
I przydzie noc — posrebrzanym smyckiem —
powiedzie miesiąc po złocie twoik warkocy
cihućko i słodko
i gwarnie, jak wiater,
i mocno —

Nikt nie uwidzi; bedziemy sami —
Oplecie nos pasem ze mglicy
dwoje rucek lustrzanyk.
Zawiedzie nom wnuku, jak zbójnicki
Janicka krzyk:
Kohanie!!!

Bazy mi sie świętalny kościół —
Wyleci ozśmizonom gwarom giętkik krokwi,
czepre sie u góry, jak buk, konarami zwonic
i ozwidni na cihość dnia biołe, jak mleko, okna.

Hań stanie ołtorz w sosręby upleciony jasności,
w zywicnom wyzłocony smrecyne,
oparty na dwok turniak i z turń wywiedziony
w powietrze wysoko...

I na nim sie w ogniak słonkowej urody,
jak parzénice na niebie ozwinom
Twoik leluji linije
ślebodo. —

Teroz my sami ino,
zasłuhani w minione...

Ałe som jest na świecie takie gromy,
co z brzękiem planetnicym... ludziom slatujom na piersi
i płuca gnietom...
ale som jest i skrzydła jastrzębie.

Tozto, kie wiater sie napije ostatniej krwie zmiertwiałyk wierhów
i słonko sie stopi na granitów zrębie,
porwie się krzyk gromady. — W jasność, we wyż kwietnom
do twojéj świetlicy
naród sie zgihnie
coby na piersi twarde potargać recioski
i zleci po skrzydlice.

Stań sie sercem ślebodo!
powietrzem stań sie i pluca im ozkuj —
niek rosnom.

Teroz my sami ino
zasłuhani w minione...
a hań,
ka te okna malućkie modlom sie do Tater
i głowniom gromnicnom migocom...
ka pod brzemieniem światów
grabiom sie cihe uboce...
hań
marniom sie moi bracia.

Na marginesie

N i e r ó w n y s t a r t. Jednem z głównych wskazań taktycznych wszelkiego współzawodnictwa, walki, gry, sportu itd. pozostanie usiłowanie zmuszenia przeciwnika do konkurowania na tym terenie, który jest naszą domeną, który jest naszą specjalnością — wywabienie go w ten teren, dla zmierzenia swych sił. Wskazanie to, stosowane z całą świadomością czy też instynktownie, nie traci swego znaczenia, jeżeli chodzi o współzawodnictwo w twórczości kulturalnej, artystycznej. Pewne predyspozycje duchowe, wynikające z tradycji i rasy, to między innemi czynniki uzdalniające wybitnie w jednym kierunku przy równocześnie wykazywanym braku zrozumienia i umiejętności odczucia zagadnień innych. To też konsekwencją tego jest walka o utrzymanie tego k l i m a t u d u c h o w e g o, który odpowiada i pozwala na rozwinięcie w całej pełni wspomnianych powyżej zdolności.

Doskonałą ilustracją tego mogą być Żydzi, żydowscy artyści, którzy wszędzie, gdzie tylko się zjawiają, wytwarzają ten nietylko odpowiadający klimat, atmosfere kulturalną. A jaka atmosfera, jaki klimat odpowiada pasorzytom? Oczywiście, że klimat rozkładu i gnicia. Kultywują go więc pieczołowicie i propagują z tupetem. To jest teren, który jest ich domeną i specjalnością. Tu ich zdolności triumfują i biją rekordy. Na tym też terenie najchętniej przyjmują wezwanie do współzawodnictwa. I dziwić się tylko trzeba, że artyści, wyrastający z innej tradycji i rasy, do współzawodnictwa tego zgłaszają swój akces, wywabiani w teren sobie w zupełności obcy, wyświechtany frazesem, składanym dziś przez cały świat do lamusa. Skutek zaś jest ten, że są w narzucanej sobie konkurencji sromotnie bici, niedorastając „mistrzom" do pięt. To też swem krygowaniem się, swym sztucznym cynizmem, z którym im tak nie do twarzy, narażają się tylko na śmieszność. Żydowscy „mistrze" widzą to doskonale i nie szczędzą ni ironji ni protekcyjnego poklepywania po łopatkach podpór swego tronu. Królem w tym klimacie duchowym może być tylko Żyd. To też we wszystkich literaturach dziś uzurpuje sobie władze. Jedyna więc radą na to jest niezapuszczanie korzeni w tej glebie i nienarażanie sie na wegetację egzotycznej roślinv w obtym sobie klimacie. Czas, aby artysta polski zrezygnował z narzuconej sobie konkurencji, zrezygnował z nierównego startu i był sobą.

NAJBLIŻSZE WYSTAWY POZNAŃSKIE





W Instytucie Krzewienia Sztuki, plac Wolności 14a, wystąpi niebawem z wystawą swoich prac, znany i wysoce ceniony artysta malarz wielkopolski, prof. **Władysław Sanok z Rawicza.** Z uwagi, że artysta ten od 10 lat nie wystawiał w Poznaniu, wzbudziła wystawa ta zrozumiałe zainteresowanie. Ilustracje przedstawiają dwie jego prace olejne, z cyklu „Z małego miasteczka". Pochodzą one ze zbiorów Ks. Infułata Styczyńskiego z Gniezna.

MARJAN ŁEBKOWSKI

Z Opery

DON JUAN. — WILHELM TELL. — AIDA — CARMEN.

Dyrekcja poznańskiej opery wystawiła ostatnio 4 wielkie dzieła, wymagające pierwszorzędnej obsady we wszystkich partjach. Niemała to zasługa dyr. Latoszewskiego, że od czasu do czasu wznawia, aczkolwiek stare, lecz monumentalne i wartościowe opery, by jaknajszerszym warstwom publiczności udostępnić słuchowiska tej miary kompozytorów, co nieśmiertelny Mozart, lub też Rossini czy Verdi. Kierownik opery, jako wielki miłośnik Mozarta, przygotował bardzo starannie melodyjnego „Don Juana", angażując do odtworzenia tytułowej partji dobrego barytonistę, p. Dolnickiego. Resztę obsady partyj solowych stanowili pp. Olgina, Urbanowicz, Peter, Cirin, oraz p. Szpinger. Całość wypadła bardzo mile zarówno pod względem muzycznym jak i optycznym dzięki sprężystemu kierownictwu dyrygenta oraz pięknym dekoracjom.

Smutna opowieść Rossini'ego „Wilhelm Tell", przełożona na język polski przez p. Stanisława Roya, była wogóle pierwszem polskiem przedstawieniem tej opery i jednocześnie 25-letnim jubileuszem pracy zasłużonego na różnych scenach kapelmistrza p. Stefana Barańskiego, który z całą precyzją opracował to dzieło i poprowadził je bardzo udatnie. Partję tytułową śpiewał p. Karpacki, najtrudniejszą zaś partję w całej operze Melchtala wykonał umiejętnie p. Raczkowski, dostosowując się niejednokrotnie do wysokich „c". Matyldę kreowała mile p. Cywińska. Z innych ról należy podkreślić rolę Waltera Tella, bardzo wdzięcznie oddaną przez p. Musielewską. Udatna reżyserja p. Kopczyńskiej oraz bogate i pomysłowe dekoracje p. Szpingera dopełniły całości.

Jeśli chodzi o „Aidę", która pod względem muzycznym i scenicznym wymaga wielkiej dyscypliny, zauważyć należy, że w zupełności poszczycić się może sukcesem w ostatniem opracowaniu tutejszej dyrekcji. Imponujące sceny zbiorowe, mimo braku miejsca, wypadły dość udatnie, a wprawna ręka dyr. Latoszewskiego w mocnych karbach utrzymywała chóry i orkiestrę. Szata dekoracyjna pomyślana stylowo i efektownie. Z pośród solistów dzielnie trzymali prym pp.: Cywińska (Aida), Czarnecki (Radames), Dolnicki (Amonastro) oraz Cirin (arcykapłan). Balet — stylowy i efektowny.

W „Carmenie" Bizet'a oraz „Aidzie" Verdi'ego wystąpiła głośna primadonna włoskiej „La Scali" p. Helena Sadoweń. Głos, aczkolwiek blady w średnicy, wykazuje dobrą szkołę, pozwalającą artystce na bardzo swobodne operowanie materją dźwiękową. Plastyczna wymowa i żywa a naturalna mimika świadczą o tem, że p. Sadoweń jest artystką nieprzeciętną.

Partję Escamilla śpiewał p. Dolnicki, wykazując niemałe walory swego talentu. Pan Czarnecki (Don José ładnie się wywiązał ze swej bohaterskiej roli. Chóry i orkiestra były sprawnie podtrzymywane batutą dyr. Latoszewskiego.

„ZETOWI" W ODPOWIEDZI

(Dokończenie ze str. 4-tej)

Usiłowaniom tym należy w całej pełni przyklasnąć. Jedna wszelako w związku z tem nasuwa się uwaga. Poprostu przyzwoitość wymaga, aby ten, który pragnie pouczać cały świat, zrobił jaki taki porządek u siebie. Nie byłoby chyba dobrze, gdybyśmy popadli w dalszą szlachecką manierę prześmiewania się z urządzeń wszystkich narodów przy równoczesnem zachwalaniu swego „nierządu". Idea mesjanistyczna ma z pewnością wszelkie szanse po temu, aby te wrodzone inklinacje podsycać. Nie chcielibyśmy także, abyśmy mieli się pod tym względem upodobnić do Żydów i twierdzić za wzorem jednego z przedstawicieli tego narodu, że potrafimy rządzić państwem. Nietylko własnem, ale i cudzem. (Przedewszystkiem cudzem).

DRAŻLIWOŚĆ I ZASŁUGA.

Wydaje nam się, że po tem wszystkiem na cośmy tu zwrócili uwagę, nie wypowiemy przedwczesnego sądu, jeżeli stwierdzimy brak punktu zaczepienia dla usiłowań „Zetu" w dzisiejszej rzeczywistości. To można wywływać z jednej strony obojętnością szerszych kół społeczeństwa, z drugiej zaś strony jako reakcję drażliwość i wybuchy przy różnych okazjach, ludzi zapoznanawanych w swej zasłudze. Zasługą zaś „Zetu" pozostanie niewątpliwie przeprowadzenie systematycznej walki z tem, co słusznie nazwano „lewicowem kołtuństwem".

M. S. i S.

Z rodzimego przemysłu

Na polskich oponach „STOMIL"

(Reportaż).

Wskazówka na taksometrze przekroczyła cyfrę 90 klm., zagrzany motor charczał jak zapracowany koń. Z pod kół rozpędzonego samochodu unosiły się chmury kurzu, w którym ginęły przydrożne drzewa...

Naraz przeraźliwie zawył klakson. Przez szybę zauważyłem szybko zjeżdżający z drogi naszego auta wóz, naładowany pakami...

Przestraszone konie szarpnęły silnie trzeszczącym wozem.

Pod koła samochodu wpadła skrzynia z butelkami.

Zazgrzytały hamulce, z trzaskiem rozleciała się skrzynia w drzazgi, z pod opon szkło potłuczonych butelek rozprysło się na wszystkie strony...

— Opony nawaliły — jęknąłem, mając w niewesołej perspektywie 10 km. pieszej podróży do miasta, lub 2 godziny asystowania przy naprawie opon. Wysypaliśmy się z auta...

Przednie koła stały nieruchomo w potrzaskanem szkliwie i ulicznym pyle.

— Całe?!!

— Całe — uśmiechnął się mój towarzysz. — To są przecież naszej produkcji „Stomile".

Nie wiedziałem co sądzić. Czy mój towarzysz jest akcjonarjuszem „Stomilu", czy osobą specjalnie się interesującą wyrobami tejże fabryki, dość, że przez całą drogę opowiadał mi o zaletach „Stomilów".

I może dlatego, choć wskazówka na taksometrze uporczywie trzymała się 90 km/godz., droga dłużyła mi się w mile.

Po chwili zacząłem się interesować:

— Więc to naprawdę polska fabryka? Słyszałem coprawda o różnych polskich fabrykatach, ale okazało się później, że jednak nie były polskie.

— Tu może pan być pewny. Fabryka „Stomil" powstała z inicjatywy i przy udziale polskiego, ściślej mówiąc, poznańskiego kapitału. Zatrudnia wyłącznie personel polski i ma na celu zaspokojenie wszystkich potrzeb, rozwijającego się w Polsce automobilizmu.

W czasie rozmowy nie zauważyłem nawet, jak samochód zatrzymał się na Starołęce przed fabryką „Stomil".

Śmiejący się mój towarzysz wysadził mnie z auta i poprowadził ku fabryce.

— Będzie się pan mógł przekonać, no i coś niecoś zobaczyć. Was dziennikarzy interesuje przecież wszystko.

Wreszcie odkryłem tajemnicę. Mój towarzysz był inżynierem (nie w tem tkwiła tajemnica) zatrudnionym w „Stomilu" (tu sedno sprawy).

Zaczęło się więc łażenie po piętrcah, natrętne zaglądanie w kotły, gdzie gotuje się egzotyczny kauczuk (Gujana Angielska) na polskie opony.

— Wcale się nie gotuje, prostuje moje myśli mój przewodnik — miesza się tylko z dodatkiem siarki, sadzy i różnych zapraw. To wszystko należy przez mieszanie wyrobić na jednolitą masę. Dzieje się to przez gniecenie w szczelinie między dwoma, w przeciwnym kierunku obracającemi się, walcami. Proces dość długi. Ostatecznie otrzymuje się pożądaną mieszankę w połciach, które wędrują do składu na półki, skąd potem dostają się do kalandrów, urządzeń walcowych. One to formują mieszankę stosownie do przeznaczenia na różnej grubości wstęgi, składając te także z kordem. Ten materjał dostaje się na stół do oddziału konfekcyjnego. Nóż, nożyce i miara oraz zręczna ręka robotnicy wyrabiają z odcinków tych gumowych płacht coś, co ma narazie pozór wielkiego zarękawka. Gdy zarękawek ten naciągnąć na metalową pierścieniową rurę, nabierze kształtu opony, lecz decydujące formy wycisną się dopiero w prasie wulkanizacyjnej matrycy żelaznego negatywu, na którym rozeznajemy znany nam „Stomilowy" rysunek odcisku opony, spotykany na wszystkich polskich drogach. W hermetycznem zawarciu przy wewnętrznej temperaturze 150 stopni dokonywuje się proces, zwany wulkanizacją, dzięki któremu kauczuk nabiera własności sprężystych, staje się gumą. Opona gotowa.



Kazimierz Nowak w sercu Afryki.

Mój znajomy zapalił się, rozgadał na dobre. Sypał fachowemi terminami. Demonstrował mi przed oczyma swojemi długiemi rękoma, jak z kauczuku i innych mikstur powstają okrągłe, wytrzymałe i niedoścignione w swej jakości „Stomile".

A mnie przez cały czas intrygowała jedna myśl: Czy to aby naprawdę polskie opony?...

— Mówię panu, że polskie — warknął wreszcie zniecierpliwiony inżynier.

— Produkujemy opony wszelkich gatunków, jakie tylko istnieją...

— Opony mózgowe także?... wtrąciłem nieśmiało pytanie.

— Narazie jeszcze nie, ale w przyszłości, kto wie!

Z tej tak niespodziewanej wizyty z ośrodka automobilowego przemysłu gumowego byłem zadowolony, zachwycony i, trzeba to śmiało przyznać, — olśniony.

— No, zalety polskich opon (polskich powiedziałem z naciskiem — sprawiało mi to bowiem dużą przyjemność) mogłem ocenić w czasie jazdy — cofałem się myślą do wypadku na szosie.

Mój inżynier - cicerone wyciągnął z szafy album z fotografjami.

— Ech! reklamy, — chciałem odsunąć ręką.

— Niech pan spojrzy.

Spojrzałem, a właściwie to na mnie z dość ciemnej fotografji spojrzał znany podróżnik polski po Afryce Kazimierz Nowak.



Harcerz Jeleński

— Co ten ma wspólnego ze „Stomilem"?!!! — rzuciłem pytanie.

— Jakto! Pan nie wie?!!! To przecież on na oponach „Stomilach" zjeździł dżungle i pustynię Afryki. Dziś jeszcze przecież opony te żłobią swój charakterystyczny ślad na czarnym lądzie.

— A tu — ciągnął dalej mój przewodnik — drugi podróżnik. który samochodem zjeździł świat cały. Harcerz Jeleński. I ten tylko na oponach „Stomil" — dodał z dumą.

Opuszczałem fabrykę z lekkim zawrotem głowy. W wyobraźni miałem ciągle wielkie koło, które szaleńczym pędem poczęło się staczać, migać wyrytemi na niem literami „STOMIL" i toczyć się w dal przez pustynię, dżungle, milowe trakty, na światowe rynki zbytu.

Polskie opony — goniłem westchnieniem rozpędzony krążek gumowy, który zginął mi z oczu, gdy znalazłem się na starych znajomych ulicach Poznania...





Stoisko „Stomilu" na Targach Poznańskich

Do

P. T. Czytelników i Przyjaciół „Głosu".

Wskutek zmian, jakie zaprowadzamy w „Głosie", jesteśmy zmuszeni podwyższyć prenumeratę z dotychczasowych 6,— zł na 10,— złotych rocznie.

Komunikując to P. T. Czytelnikom i Przyjaciołom „Głosu", spodziewamy się, że krok nasz w niczem nie wpłynie na Ich dotychczasowe życzliwe ustosunkowanie się do naszego pisma i że nadal będzie się ono cieszyć taką moralnem, jak materjalnem poparciem.

Jednocześnie wyjaśniamy, że wszyscy P. T. Prenumeratorzy „Głosu", którzy opłacili do dnia 20 stycznia prenumeratę, będą otrzymywali „Głos bez żadnych dodatkowych opłat.

Pieniądze za prenumeratę „Głosu" prosimy wpłacać przekazami rozrachunkowemi koloru niebieskiego, które w cenie 1 gr. za sztukę można nabyć w każdym urzędzie pocztowym. Poczt. kartoteka „Głosu ma nr. 58

Redakcja i Wydawnictwo.

NADESŁANE KSIĄŻKI I CZASOPISMA.

Feliks Hilchen: „Transporty morskie a międzynarodowe porozumienie w żegludze". Wyd. Instytutu Bałtyckiego. Toruń 1934.

Dr. St. Zajączkowski. „Zarys z dziejów Zakonu Krzyżackiego". Wyd. Instytutu Bałtyckiego. Toruń 1934.

Dr. Józef Feldmann: „Niemiecko - polski antagonizm dziejowy". Wyd. Instytutu Bałtyckiego. Toruń 1934.

Inż. Miecz. Rybczyński: „Wisła Pomorska". Wyd. Instytutu Bałtyckiego. Toruń 1934

Feliks Kordyński: „Sztadlan". Odbitka z „Myśli Narodowej".

Drukarnia i Księgarnia św. Wojciecha
Spółka z ogr. odp.
POZNAŃ — PLAC WOLNOŚCI 1.
Zakłady przemysłowe (papiernie, zakłady graficzne i introligatorskie, budowa sprzętów kościelnych).
Wydawnictwo książek i czasopism
Księgarnia sortymentowa i dział Komisowo - Hurtowy, Dział Dewocjonalij i aparatów kościelnych. Własne Oddziały w Warszawie, Wilnie i Lublinie.

Kapelusze
Koszule
Krawaty
Pulowery
Najtaniej
CEGŁOWSKI Pocztowa 5
Dla studentów 10%

Kolektura Loterji Państwowej
JULJANA LANGERA
w Poznaniu
u nas padły wygrane 31 Loterji

100.000	zł	na nr.	120 717
100 000	„	„ „	167 868
100.000	„	„ „	172 737
20.000	„	„ „	60 649
10 000	„	„ „	60 542
10 000	„	„ „	85 932
10.000	,	„ „	91 224
10.000	„	„ „	91 222
5.000	„	„ „	99 144

oraz kilkaset wygranych po 2.000 1.000 i t. d.
Losy I klasy 32 Loterji nadeszły 1/4 Losu 10.— zł

10000 zł
padła wygrana na Nr. **49 238** oraz dużo mniejszych w kolekturze
M. TATARCZEWSKI
Poznań, Pocztowa 3 przy pl. Sapieżyńskim
Szczęśliwe losy do I kl. 32 loterji Państwowej są już .do nabycia

W śniadalni
Bratniej Pomocy WSH (Wały Zyg. Starego 2-3
możesz otrzymać
obiady smaczne i tanie
Cena obiadu składającego się z 3 dań, 75 gr
Obiady wydaje się od godz. 12.30 do 14.
Bufet otwarty od godz. 8 do 21
Bridż! Radjo!

„Myśl Narodowa"
Tygodnik poświęcony twórczości kultury narodowej
Warszawa, ul. Mokotowska 11 m. 5.

Adres Redakcji: Poznań, Św. Marcin 65. Konto P. K. O. 201410 Adres Administracji: Poznań, św. Marcin 65.
PRZEDPŁATA (wraz z przesyłką) rocznie 10 zł. półrocznie 5 zł.
CENY OGŁOSZEŃ: cała strona — 240 zł, 1/2 strony — 130 zł. 1/3 strony — 90 zł, 1/4 strony — 70 zł, 1/8 strony — 40 zł, 1/10 strony — 30 zł.
Rękopisy nieczytelne, bez podpisu i adresu autora nie będą uwzględniane. Przedstawiciel Redakcji w Warszawie: Jan Bajkowski; w Krakowie: Jan Bielatowicz. Rękopisów nie zwraca się.
Redaktor naczelny i wydawca: Jan Wyganowski, Poznań, Redaktor odpowiedzialny: Stanisław Sieciechowicz, Warszawa.
Czcionkami Drukarni Wydawniczej Fr. Krajna Sp. z o. o. Poznań, ul. Strzałowa 2a.